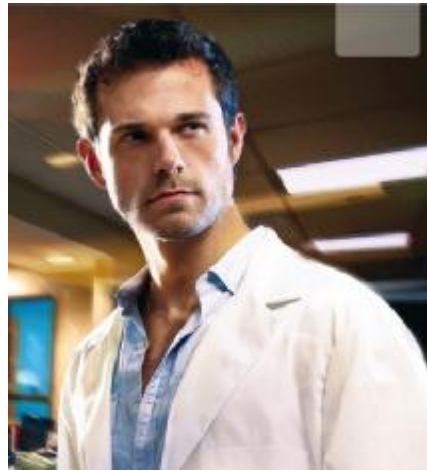




***Dianne Drake***



***Druga twarz  
doktora Robinsona***

*tytuł oryginału: Reveling the Real Dr Robinson*

# ROZDZIAŁ PIERWSZY

Ben Robinson otworzył drewniane okiennice, by zaczerpnąć powietrza. Z zadowoleniem stwierdził, że w nocy spadł nowy śnieg. Szykował się kolejny dzień na nartach, ostatni przed wyjazdem. Doskonale.

Prawdę mówiąc, cały urlop udał się doskonale. Po raz pierwszy od sześciu lat Ben mógł się zrelaksować. Od dawna marzyła mu się Toskania zimą, mimo że już zwątpił, czy uda mu się to zrealizować. Spał do późna, co wieczór rozkoszował się włoskimi makaronami, sosami i deserami, a w międzyczasie zwiedzał bajkowe dwustuletnie wioski z baczówkami na zboczach oraz wiekowe kościołki, samotnie, zamki i fortece.

Oraz poznał Shannę, swoją towarzyszkę podczas tych wypadów oraz późnych kolacji.

Jak nazwać to, co ich zbliżyło? Przyjaźń? Przelotna znajomość? Cokolwiek to było, każde z nich codziennie miało własne plany. On jutro wyjeżdża. Było, minęło, zostaną tylko wspomnienia.

Nie był to wakacyjny romans, nie było nawet cmoknięcia w policzek na dobranoc. Nie spędzała nocy w jego łóżku, nie patrzyli sobie w oczy. Poprzedniego wieczoru rozstali się, nawet nie wspominając, że to ich ostatnie spotkanie. Sam tak zdecydował, prawda? Zachowuj dystans, ciesz się towarzystwem, ale bez przesady.

Jakiś czas temu przez moment zastanawiał się, co by się wydarzyło, gdyby sobie odpuścił, ale nie trwało to długo, bo przecież zaraz wyjeżdża. Wystarczy mu, że na nią popatrzy. Na nic więcej nie liczy. Od dawna.

– Czy to miejsce jest wolne? – usłyszał znajomy głos.

–Może być wolne – odparł, nie podnosząc wzroku.– Jeżeli właściwa

osoba ładnie poprosi.

– To znaczy kto?

– Ktoś skłonny zrezygnować ze swoich planów, żeby dzisiaj pojechać ze mną na nartach, a na zakupy pojechać jutro, jak już mnie nie będzie. – Zadbał, by w jego głosie nie zabrzmiała nuta nadziei.

Shanna Brooks. Po same oczy otulona szalami, z czapką nasuniętą tak głęboko, że chyba opierała się na rzęsach, spod której wymykały się kosmyki rudych włosów. Na jej widok dech zaparło mu w piersiach. Gdy siadała, nie mógł się oprzeć, by nie spojrzeć w jej zielone oczy.

– Mogę być tą osobą – odparła.

– Ale czy to ty?

Odkładała czapkę na parapet, zastanawiając się, co powiedzieć.

– Czy rozważałeś możliwość towarzyszenia mi w zakupach? – zapytała. – Zamiast tego, że ja będę ci towarzyszyć na nartach?

– Nie – odparł szybko. – Moją misją jest spędzić dwanaście dni na nartach, nie łamiąc sobie nogi.

– A jak ci się nie poszczęści i dziś ją złamiesz?

– Złamanie otwarte?

– Co to to nie, za duże ryzyko infekcji. – Rzuciła na parapet rękawiczki. – Mam na myśli złamanie kości piszczelowej z przemieszczeniem. – Między kostką i kolanem. – Albo złamanie bliższej nasady kości piszczelowej. – Tuż pod kolanem. – A jak przez nieuwagę wyrzuci cię na muldzie i spadniesz na plecy?

– Raczej nie. Za duże ryzyko artretyzmu w późnym wieku. A może złamanie wewnątrzstawowe dalszej nasady piszczeli typu pilon? Bliżej kostki. Tak samo poważne, równie długie leczenie, ale mniejsze ryzyko trwałej niepełnosprawności.

– Słusznie. – Rozpromieniła się. – Obiecuję po operacji stawić się ze wszystkimi paczkami i torbami, bo dzisiaj idę na zakupy.

– Jeszcze więcej szali, czapek i rękawiczek?

– Tego nigdy za mało.

– Ale jak już wiesz, co mi się dziś przydarzy, dalej wybierasz rękawiczki i czapki? – Robiło się niebezpiecznie. Zdawał sobie z tego sprawę, ale mimo że znali się już dwa tygodnie, nadal nie wiedział, dlaczego porzuciła praktykę lekarską. Jak pierwszego dnia, kiedy zignorował ją podczas śniadania, by nieco później zorientować się, że siedzi obok niego na wyciągu.

– Rękawiczki wygrywają z ranami, bo ciągle jestem na urlopie.

– Jak już zdiagnozowałaś moje obrażenia, to mogłabyś się zająć ich naprawieniem.

– Nie ta specjalizacja.

– Jaką masz specjalizację? – zapytał. – Powiedz, zanim się oddalisz. – Milczała. Wcześniej upłynęło pięć czy sześć dni, zanim się wygadała, że jest lekarzem.

– Nie kości – odezwała się wreszcie, patrząc w przestrzeń, jakby chciała prześliznąć się nad czymś, co ją gnębi.

– Mnie też kości nie interesują, od kiedy złamałem paluch.

– Na nartach? – zapytała dosyć obojętnie.

– Nie, to taka przypadłość sportowców grających na sztucznej nawierzchni.

To ją zaciekawiło.

– Grałeś w piłkę nożną?

– Nie, goniłem kozę.

Szeroko otworzyła oczy.

– Wolę nie pytać, w jakim celu.

– To nic zdrożnego – odparł z uśmiechem. – Rodzice hodowali kozy i owce, a ta wyrwała się, jak ją strzygłem.

– Aha. Ale to raczej naciągnięte ścięgno, a nie złamanie.

– W moim przypadku jedno i drugie.

Roześmiała się.

– Biedny Ben! Nawet nie może się pochwalić obrażeniami na skutek uprawiania sportu. Koza to raczej nie powód do chwały. To wyjątkowo krepujące.

Skinął na kelnera, by podał im kawę.

– Czuję, że nie uda mi się namówić cię na pożegnalnego szampana. Bo to nasz ostatni wspólny poranek.

– Zadowolę się kawą. – Wystarczy, że zwierzył się z incydentu z kozą. Nie ma potrzeby bardziej się obnażać.

– Lepszy byłby szampan albo sok. – Zawahała się. – Ty nie pijesz, prawda? Ani kropli.

– Skąd wiesz?

– Do kolacji kilka razy zamawiałam wino, a ty zawsze... – Wzruszyła ramionami. – Masz rację, wystarczy kawa. Ben, należało mi powiedzieć. Nie zamawiałabym... – Kurczowo objęła dłońmi filiżankę. – Nic nas nie łączy, ale należało mi powiedzieć.

– Nie ma o czym. – Megakłamstwo. Po co o tym mówić? Żeby popsuć nastrój? Nic romantycznego się między nimi nie dzieje i to mu odpowiada, jednak teraz trzeba wrócić do normalnego Bena, który nikomu nic o sobie nie mówi. Ci, którzy wiedzą, to wiedzą, a reszta nigdy się nie dowie.

– Oprócz problemu z alkoholem? Domyślałam się, że to przeszłość. Gdybym wiedziała, nie zamawiałabym wina...

– Zrezygnowałabyś z wina? Mnie to nie rusza.

– Wierzę ci, ale wystrzegam się nietaktownych zachowań. Gdybyś mi powiedział...

– To by zmieniło naszą znajomość. Byłabyś bardziej czujna albo zaczęłabyś się zastanawiać nad przyczynami. Nadal jestem alkoholikiem. Nasza znajomość przebiegałaby inaczej.

Teraz oboje poczuli się niezręcznie, zamiast spędzić ostatni beztroski dzień. To kolejna przyczyna, dla której nie angażuje się emocjonalnie. Shanna odkryła pierwszą, starannie ukrywaną przypadłość Bena Robinsona. Tak, jest alkoholikiem. Tak, od czasu do czasu musi walczyć z pokusą, mimo że od dziesięciu lat nie wziął alkoholu do ust. Tak, to jest bariera towarzyska.

– Ben, nie każdy jest bezwzględny w osądach. Naprawdę rozumiem, co to chwile słabości. Ale masz rację, nasza znajomość nie osiągnęła stadium wyznań. Prawdę mówiąc, godziny spędzone z człowiekiem funkcjonującym na tych samych częstotliwościach osłodziły mi ten urlop. – Dotknęła jego ręki. – Współczuję ci, że musiałeś walczyć z nałogiem i cieszę się, że z niego wyszedłeś. – Spoglądając na góry, cofnęła dłoń.

W trakcie śniadania rozmowa się nie kleiła, a potem było już po wszystkim. Skończone. On poszedł na narty, ona na zakupy.

Później, jak zawsze samotny, spędził trzydzieści sześć godzin w samolotach, zastanawiając się, dlaczego chociaż raz nie wykorzystał sytuacji i choćby przez chwilę nie pozwolił sobie żyć pełnią życia.

– Bo potem wraca skrzecząca rzeczywistość – mruknął, zapinając pasy na pokładzie kolejnego samolotu.

– Kawa czy herbata? Może lampka wina? – pytała stewardesa. – Albo koktajl? Mamy dżin, whisky...

On już nie pije. Tak powiedział Shannie i tego się trzyma od lat, jednak w trakcie takich nocy jego postanowienie słabło, bo tracił pewność, z czym

walczy. Z alkoholem czy z sobą.

Przypomniały mu się zielone oczy Shanny, gdy pierwszego dnia spojrziała na niego, pytając jedynie, czy może podziwiać widok z okna, pod którym siedział. Dostrzegł w nich iskrę, pod wpływem której na czas urlopu zmienił sposób bycia. Ale teraz Shanna to tylko wspomnienie, a on musi, jak za każdym razem, gdy jego postanowienie się chwieje, odetchnąć głęboko i przypomnieć sobie o obowiązkach. I tak trzymać.

– Poproszę wodę.

– Okej, Ben, kim ty jesteś? – Gdy dwa dni temu zostawił ją w kafejce, zastanawiała się, dlaczego jej nie ufa. To nie kwestia wyłącznie choroby alkoholowej. Miło spędzali razem czas, ale czuła, że Ben się dystansuje. Byli razem, ale osobno, tak to odbierała. Razem siedzieli na wyciągu, razem jedli, odbyli kilka spacerów, ale o sobie Ben nie mówił.

– Kim ty jesteś? – To pytanie skierowała do komputera, wpisując jego nazwisko do wyszukiwarki. – I dlaczego jesteś w Argentynie?

Tylko gdzie w Argentynie? Po jego wyjeździe zdała sobie sprawę, że nawet nie ma numeru jego telefonu. Że Ben to nieznajomy, który zatrzymuje się gdzieś na chwilę, ale nic go z tym miejscem nie łączy.

Nieprawda, bo oto ona szuka o nim informacji.

Być może chodzi o to, że czuje się zagubiona, a on sprawiał wrażenie człowieka, który się odnalazł. Odnalazł stabilność, która w jej przypadku okazała się iluzją. Ben nie ulega złudzeniom, nawet ich do siebie nie dopuszcza. Trudno tak żyć, ale to gwarantuje poczucie bezpieczeństwa, a tego właśnie jej brakuje. Podcięto jej skrzydła. Runęło wtedy wszystko, w co wierzyła. Wystarczył jeden ruch, by straciła równowagę.

Ben też ją stracił. Dowodem są te blizny na szyi oraz alkoholizm. Ale się wyzwolił, a ona nie potrafi. Jak to się robi, jak zacząć od nowa i od czego? To

dlatego wpisała jego nazwisko w wyszukiwarce i znalazła je w systemie argentyńskiej służby zdrowia.

Przed nią pustka. Nie ma dla niej miejsca ani zajęcia, dopóki nie odnajdzie się jako ktoś inny. Przed nią długa podróż, którą Ben ma ją już za sobą. I znalazł odpowiedź: beznamiętność. To go trzyma. Ona też musi pójść tą drogą, jeśli chce nadal być lekarzem. Bo jeśli na to się nie zdobędzie, to, co kocha, ją zniszczy. Ma zatem do wyboru: albo nauczy się dystansu do swojej pasji, albo się z nią pożegna.

Ben ją fascynuje, bo się odciął. Zauważyła to już pierwszego dnia, kiedy najpierw nie chciał siedzieć z nią przy jednym stole, a potem na wyciągu słowem się do niej nie odezwał. Mimo to jest lekarzem, szefem niedużego szpitala. Coś tu nie pasuje. Albo pasuje? Być może Ben jest mistrzem tego rozgraniczenia, które ona musi znaleźć i się go trzymać.

– Ben, chyba zwariowałam – szepnęła, przeglądając kolejne linki – ale czuję, że to nie koniec między nami. Jeżeli cię znajdę... Czy to tutaj jest mój Ben Robinson? – zwróciła się do zdjęcia, które w końcu pojawiło się na ekranie. Niezbyt przystojny, uśmiechnięty. Krótsze włosy, bez trzydniowego zarostu... – Doktor Benjamin Robinson, właściciel i dyrektor... – Westchnęła z ulgą. Nie, na pewno nie zwariowała. Szuka jedynie swojego miejsca.

Pomna tego zarezerwowała bilet na samolot, spakowała się i udała w podróż do Argentyny.

– Doszedłeś już do siebie? – zwróciła się do brata doktor Amanda Kenner – czy potrzebujesz jeszcze paru dni urlopu?

– Dobrze by mi zrobił jeszcze tydzień albo dwa w Toskanii, ale skoro to niemożliwe, to tak, już do siebie doszedłem.

Szli na główny oddział szpitala Caridad. Aktualnie nie było zagrożenia epidemią, a to dzięki mężowi Amandy, który dopiero co zażegnał kryzys



wywołany giardiozą, ale w dalszym ciągu było wielu pacjentów. Tu jest moje miejsce, pomyślał. W Toskanii było pięknie, ale drugi taki urlop musi poczekać kolejne sześć lat.

Jego myśli powędrowały do Shanny. Zrobiło mu się żal niewykorzystanych okazji, bo przecież w kwestii marzeń i pragnień jest normalnym facetem. Jednak jego rzeczywistość jest inna, o czym co rano przypomina mu lustro w łazience. To niepodważalny fakt.

– To pewnie tęsknota przygnała cię z powrotem – zauważyła Amanda.

– Prawdę mówiąc, dziwię się, że wytrzymałeś aż tak długo.

– Bardzo tam ładnie. Dobre jedzenie, fantastyczne trasy zjazdowe i rewelacyjny pensjonat *signory* Palmadessy. Ale nie można całe życie być na wakacjach.

– Chyba słyszę żal w twoim głosie.

– Nie. Zmęczyła mnie długa podróż. – Emocjonalnie i fizycznie.

– Poznałeś kogoś, tak?

– Ale to nie to, co myślisz.

– Zakochałeś się. Miało się skończyć na wakacyjnej przygodzie, ale się zakochałeś.

– Nie było żadnej przygody ani się nie zakochałem. Miło spędzaliśmy razem czas. Poza tym nie byłem skazany na samotne posiłki. Nic poważnego.

– To dlaczego tęsknie wzdychasz?

– Nie tęsknie, tylko niecierpliwie, bo pacjenci czekają, a ty mnie zagadujesz.

– Ben, przykro mi, że nic z tego nie wyszło, zwłaszcza że miałam nadzieję, że poznasz tam piękną Włoszkę, pokochasz ją od pierwszego wejrzenia i przeżyjecie gorący romans. Że może nawet się pobierzecie, a ty zawiadomisz mnie mejlem, że już tam zostaniesz, żeby cieszyć się życiem i

gromadką dzieci. – Otarła łzy. – Bardzo bym chciała... żebyś był szczęśliwy.

– Wiem, Amando, ale już się pogodziłem z tym, co mam – odparł półgłosem. – Zajęło mi to wiele lat, ale to słuszny wybór. Teraz ty musisz się z tym pogodzić. Postarasz się? – Przysiągł sobie żyć samotnie, gdy miał piętnaście lat, a utwierdził go w tym postanowieniu zdławiony okrzyk, który wyrwał się Nancy Collier, jego dziewczynie, gdy po raz pierwszy się kochali. Nie był to krzyk rozkoszy. Miał wtedy lat dwadzieścia jeden.

Potem go przeproszała, ale żaden mężczyzna nie chciałby tego usłyszeć. Pojął wtedy, że tak będzie już zawsze. Wystarczy raz ujrzeć potwora, by zawsze się od niego odwracać. Taka reakcja budziła w nim prawdziwego potwora. Lepiej, by na niego nie patrzyli.

– Nie, nie zgadzam się. Ben, jesteś dla siebie zbyt okrutny. Bardzo mnie to martwi, bo jak zjawi się ktoś niezwykły...

Ktoś tak niezwykły jak Shanna.

– Jest jak jest. Nie jestem sam. – Bezwiednie dotknął blizn na szyi. – Zrobiłaś się w ciąży przesadnie sentymentalna. A propos, jak się ma mój siostrzeniec?

– zapytał w nadziei, że uda mu się zmienić temat. – Stęskniłem się za nim. Jak mu się wiedzie w nowej rodzinie? – Amanda i Jack niedawno adoptowali dwunastoletniego Ezequiela. To niezbity dowód na istnienie happy endów. Ale nie w jego przypadku.

– Towarzyszy Jackowi w objeździe pacjentów, ale niedługo wrócą. Jack uznał, że warto go zabierać na krótsze wyprawy. Ojciec będzie spędzał czas tylko z synem, a poza tym da to chłopcu poczucie celu, bo może udawać pomocnika lekarza. – Uśmiechnęła się.

– Mój nowy syn chłonie wszystko jak gąbka, jest żądny wiedzy. Myślę, że też zostanie lekarzem.

– Dzieci w tym wieku mają wielkie oczekiwania – zauważył, otwierając drzwi na oddział kobiecy.

Kiedyś też miał podobne oczekiwania. Nie w kwestii wyboru zawodu, ale tego, co przyniesie przyszłość. Wierzył naiwnie, że świat stanie przed nim otworem, by brał z niego wszystko, czego zapragnie. A pewnego dnia to się skończyło. Definitywnie. Żadnych oczekiwań, żadnej nadziei, żadnych marzeń, bo nie było na nie miejsca tam, gdzie spędził cały rok: na oddziale oparzeniowym, walcząc o życie, otrzymując kolejne przeszczepy skóry, zmagając się z infekcjami.

Jego oczekiwania koncentrowały się wtedy na przetrwaniu kolejnych minut, godzin i dni.

– Przykro mi, że ci nie wyszło – powiedziała Amanda. – Ten toskański romans.

– Nie mogło się udać. – Spojrzał na siostrę. – Tak musi być, Amando. Doceniam, że się o mnie martwisz, ale teraz masz ważniejsze sprawy na głowie, a ja muszę się zająć kobietą, która choruje na cukrzycę, a źle się odżywia.

– Pamiętasz ten domek na drzewie, który tato dla nas zbudował?

– Do którego nie pozwalałem wchodzić dziewczynkom? – Ciekawe, do czego ona prowadzi.

– Ale mnie zawsze udawało się tam wejść.

– Zostawiałaś tam lalki.

– Czułam, że nie chciałeś mieć siostry, bo gdy mama i tato mnie adoptowali, poczułeś się zagrożony. Miałam dopiero pięć lat, ale to czułam. Widziałam twoją niechęć i strach, że może chcą sobie mną zastąpić ciebie. Ben, to było widać.

– Ale jak pozbyłem się lalek, to potrafiliśmy się bawić.

– I różowych firanek, które mama uszyła.

Wspomnienia z czasów, kiedy tworzyli szczęśliwą rodzinę, przydatne w trudnych chwilach.

– Uważasz, że powinniśmy zbudować taki sam domek na drzewie dla Ezequiela? O to ci chodzi?

– Dobrze wiesz, że nie – wyszeptała. – Zanim mnie zaakceptowałeś, chowałeś się w tym domku. Nie chciałeś stamtąd zejść. Widziałam cię z okna swojego pokoju. Widziałam, że jesteś zły, smutny... że płaczesz. Ben, musisz opuścić ten domek. Nie możesz przez całe życie się ukrywać.

– Założyłem szpital. Pracuję po dwadzieścia godzin na dobę przez siedem dni w tygodniu. Nie ukrywam się.

– Można się ukrywać na różne sposoby. – Otarła łzy. – No cóż, ty masz pacjentów, ja mam pacjentów...

– Amando, niczego mi nie brakuje – zapewnił ją, gdy zaczęła się oddalać. Nie odpowiedziała. A on...?

– Nie spodziewałem się, że tak szybko tu wrócisz. – Przysunął sobie krzesło bliżej łóżka pacjentki. – Mario, wypisaliśmy cię trzy tygodnie temu. Widzę, że znowu musimy porozmawiać o tym, co może się stać, jak nie zaczniesz dbać o siebie – przemawiał do kobiety, która zerkała na ciasteczka przyniesione przez małżonka.

Westchnął. Doskonale wiedział, jak trudno zrezygnować z czegoś, co się lubi albo pragnie, niezależnie od przyczyny. Życie bywa jednak okrutne i wymusza na nas różne wyrzeczenia.

– Po pierwsze, komplikacje z sercem... – Coś, czego sam starannie unika w życiu prywatnym.

## ROZDZIAŁ DRUGI

– Tędy – mruknął ponuro kierowca, nie wyjmując z ust papierosa. – Dalej nie jadę.

Wypchnęła ciężką torbę na ziemię, nie oczekując, że facet się ruszy, by jej pomóc. Nie pomógł, ale wyciągnął tłustą łapę po napiwek. Gdy wepchnęła mu plik banknotów, bez słowa odjechał.

Zorientowała się, że to jeszcze nie wioska Aldea de Cascada, zwana również Aldea de Hospital z powodu szpitala założonego przez Bena.

– Okej – mruknęła, zarzucając torbę na ramię, aż się zachwiała pod jej ciężarem. – Chciałaś zaczynać od nowa, to masz.

Ruszyła wąską ścieżką, licząc, że doprowadzi ją do celu. Słońce chyliło się ku zachodowi, więc istniało realne ryzyko, że przyjdzie jej spędzić noc w dżungli pełnej Bóg wie jakich drapieżników.

Torba utrudniała marsz, ale nie było mowy, by ją zostawiła na ścieżce i wróciła po nią następnego dnia. Gdyby torba zniknęła albo coś się stało... Nie wzięła ze sobą dużo rzeczy, ale nie wyobrażała sobie życia bez kilku cennych drobiazgów. Idąc, układała sobie, jak się wytłumaczy przed Benem, by nie wyjść na idiotkę albo wariatkę, albo na jedno i drugie.

Kilka przyjemnych dni we Włoszech to za krótko, by zdecydować się na taki krok. Zwłaszcza że tam, w Toskanii, Ben był, a jakby go nie było. I o to musi go zapytać: jak wyłączyć emocje i robić swoje. On jest takim lekarzem, bez emocji. Właśnie tego ona musi się nauczyć. Przemierzyła pół świata po tę wiedzę albo żeby pogodzić się z tym, co zrobi ze swoim życiem, jeśli okaże się to niemożliwe. Bo medycyna plus emocje w świecie Brooksów to złe połączenie.

– *Ayúdeme por favor. Mi madre fue mordida por una serpiente. Está muy enferma. No puede mover. Pienso que se morirá. Ayúdeme por favor!*

Może dziesięcioletnia dziewczynka szarpnęła jej torbę. Nie by ją ukraść, tyle Shanna zrozumiała. Dziecko było przerażone, bo jej matkę ukąsił wąż. *Una serpiente*. Matka się nie rusza. Może umiera albo już umarła.

– Oddycha? – zapytała Shanna, zapominając, że mała nie mówi po angielsku. – *Respira su madre?*

– *Yo no se. Esta en el suelo, como duerme. Pero yo no se si puede respirar.*

Nieprzytomna leży na ziemi. Nie wiadomo, czy oddycha.

– Gdzie jest szpital? – zapytała po hiszpańsku.

Dziewczynka wskazała kierunek.

– Bardzo daleko?

– *No.*

Poleciała dziewczynce pobiec do szpitala po pomoc. Dowiedziała się też, że na imię jej Valeria, a matce Ines.

Dotarły do miejsca, gdzie na ziemi leżała matka Valerii. Oddycha! Ale ledwo, ledwo.

Postawiła torbę na ziemi, by wyjąć instrumenty, które pozwolono jej wwieźć do Argentyny. Nie leki, tylko instrumenty. A to za mało, by uratować tę kobietę.

– Jestem lekarzem, Valerio, ale potrzebna mi pomoc – stwierdziła, zbadawszy Ines.

Oraz antidotum, jeśli to jadowity grzechotnik. Częstoskurcz, tętno na granicy nitkowatego, opuchlizna na lewej kostce. Inne objawy: utrudniona mowa, wiotczenie mięśni, zawroty głowy, omdlenie, nadmierne pocenie, zaburzenia widzenia, może nawet częściowy paraliż prawdopodobnie

ujawniły się wcześniej.

– Biegnij do szpitala.

Dziewczynka pociągnęła ją za koszulę.

– *Si, pero tengo a amigos cerca que puede a llevar a mi madre alli.*

*Creo que seria más rápido.*

Ma pod ręką przyjaciół, którzy ją tam zanosą. Tak będzie szybciej.

– Więc ich tu sprowadź. Szybko!

Czekała na nich, czując taką samą bezradność jak tego dnia, gdy swojej pacjentce Elsie Willoughby obiecała przeszczep nerki. Ale nie przewidziała, że szpital się na to nie zgodzi. Tę odmowę przekazał jej dziadek, a ojciec potwierdził, podobnie kilku innych lekarzy noszących nazwisko Brooks.

– Twoja pacjentka jest za stara – oznajmił dziadek. Wymienił jeszcze kilka innych powodów, co poskutkowało wypisaniem pani Willoughby z Brooks Medical Center złożonego z trzech szpitali, dziewięciu przychodni i czternastu innych placówek służby zdrowia.

Pani Willoughby umarła cztery miesiące później.

Do tej pory śnił się Shannie ten dzień, kiedy musiała powiedzieć pacjentce, że system opieki zdrowotnej, do którego miała zaufanie, ją zawiódł. Załamana Shanna przepłakała całą noc, wątpiąc w sens swojej pracy.

Następnego dnia rano ponownie próbowała przekonać dziadka, ale bez skutku.

– Z takim zaangażowaniem emocjonalnym bardziej nadajesz się do pracy w administracji – orzekł.

Za to, że leży jej na sercu los pacjenta?

To dlatego porzuciła medycynę i zaczęła się rozglądać za czymś lepszym. Może innym. Za czymś, co by określiło jej miejsce w medycynie. A

jak nie ma czegoś takiego?

Ben Robinson pokazał jej, że jest wyjście. Obserwując go, stale otrzymywała tego dowody. Zrobi wszystko, żeby tego się nauczyć, jednak znowu znalazła się w punkcie wyjścia. Nie może pomóc pacjentowi, więc czekając ni Valerię, postąpiła tak jak wtedy, gdy przyszło jej poinformować panią Willoughby o odmowie: siedziała, trzymając nieznaną kobietę za rękę. Medycyna z sercem.

Kilka minut później stanęło przed nią dwadzieścia osób. Nie z prowizorycznymi noszami, lecz z łóżkiem. Materac, koce, poduszki, wszystko...

Nim otworzyła usta, przenieśli Ines na łóżko i ruszyli ścieżką. Pół kilometra dalej zatrzymali się przed niewielkim drewnianym budynkiem, rozstępując się, by ją puścić. Postawili łóżko na ziemi, po czym na materacu wnieśli Ines do środka.

Shanna natychmiast dostrzegła Bena. Z bijącym sercem zastanawiała się, czy przyczyną takiej reakcji jest jego widok oraz szansa na jej metamorfozę jako lekarza, czy jedynie radość, że pacjentka otrzyma pomoc. Nieważne. Nieświadom jej obecności Ben pochylał się nad pustym stołem operacyjnym, ustawiając światło.

– Czy ten stół jest zajęty? – Uśmiechnęła się, gdy podniósł na nią wzrok.

– Chyba nie znalazłaś się tu przypadkiem – zauważył, wskazując jej krzesło w skromnym pokoju dla lekarzy. – To by znaczyło, że mnie prześladujesz, prawda?

Kurczowo ścisnęła kubek z *yerba mate*, której on był amatorem, ale ona jeszcze się z tym smakiem nie oswoiła. Podobnie jak ze zmianami, które powinna wprowadzić w swoim nastawieniu do zawodu lekarza.



– Miałam trzydzieści godzin na zastanawianie się, o co mnie zapytasz i co ci odpowiem. Co zabrzmia przekonująco, a co nie.

– Wskazane, żeby było przekonujące – odparł zaintrygowany. Może ma halucynacje, a może pod wpływem rzuconego przez kogoś uroku jego myśli się urzeczywistniły. Bo od wyjazdu z Toskanii myślał o niej w każdej wolnej chwili. I oto wyrosła przed nim jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. – Ale to będzie trudne.

– Nie prześladowuję cię. – Upiła łyk. – Nie w tradycyjnym tego słowa znaczeniu.

– Okej, więc jak mam to rozumieć? – Pochlebiali mu, że przyleciała za nim aż do Argentyny. Taką miał przynajmniej nadzieję, bo nie mógł wykluczyć, że Shanna Brooks to po prostu wariatka, czego w Toskanii nie zauważył.

– Trudno to wytłumaczyć. Ja... szukam czegoś innego.

– I w poszukiwaniu tego czegoś innego wylądowałaś w moim szpitalu, którego nie ma na mapie ani w żadnym znanym mi systemie nawigacji satelitarnej. Stąd wniosek, że musiałaś sporo się napracować, żeby mnie znaleźć. – Coś takiego nigdy mu się nie przytrafiło. Chyba powinien mocno się uszczypnąć.

Wzruszyła ramionami.

– Owszem, nie ma na mapie, ale wspomniałeś kiedyś o Argentynie, a ja jestem zaradna.

Celowo mówi tak mętnie, czy może blefuje? Zwłaszcza że sprawia wrażenie tak samo jak on zdziwionej swoją obecnością w tym miejscu.

– Wrócimy do mojego pierwszego pytania.

– Dlaczego cię prześladowuję. – Odetchnęła głęboko.

– Odpowiedź brzmi: bo chcę być taka jak ty. Kto inny pokaże mi lepiej,

jak to osiągnąć?

Chyba jednak wariatka, pomyślał.

– Chcesz być jak lekarz samotnik, który prowadzi z pomocą ochotników szpital pośrodku dżungli?

Uśmiechnęła się.

– Uważasz, że zwariowałam?

– Nie na tyle, żebyś kwalifikowała się do leczenia, ale na tyle, żebym miał cię na oku, usunął ostre narzędzia i pozwalał ci dysponować tylko tabletkami z cukru.

– Wcale ci się nie dziwię! – odparła ze śmiechem. – Na twoim miejscu pewnie wezwałabym ochroniarza.

– Tu nie ma ochroniarzy. Czego nie powiedziałaś mi w Toskanii, o czym powinienem wiedzieć?

– Słuszne pytanie.

Przypatrując mu się, odstawiła kubek. Trwało to całą wieczność.

– Należy ci się odpowiedź – przyznała – ale to niekoniecznie będzie odpowiedź właściwa, bo...

– Bo to trudno wytłumaczyć.

– Trudniej, niż sobie wyobrażasz.

– Zaczynaj od początku.

– Kłopot w tym, że ta opowieść ma wiele początków. Zacznijmy może od tego, że moje i medycyny drogi się rozeszły. Nazwijmy to rozbieżnością ideałów i przejdźmy dalej. Schowałam dyplom do szuflady i wybrałam się w podróż. W poszukiwaniu siebie, w poszukiwaniu prawdy, być może w poszukiwaniu sensu życia. Nie wiem, czego poszukiwałam, ale spotkałam ciebie i spodobało mi się, jak opowiadasz o swoim miejscu w lecznictwie. I jak sobie z tym radzisz. Przyznaję, że urzekło mnie tym bardziej, że

przystałam się widzieć w tej profesji...

– Do rzeczy – przerwał jej. – Innymi słowy, przyjechałaś tu, żeby się mnie uczyć.

– Wiem, że to nie brzmi sensownie, i wiem, że nie wiem nic więcej. Kochałam tę pracę i myślę, że dalej chcę ją wykonywać, ale... – zająknęła się.

– Potrzebujesz wolontariuszy, więc się zgłaszam.

O tym w Toskanii nie rozmawiali, a powinni, gdy się okazało, że oboje są lekarzami. Ile Ben powiedział jej o sobie? Niewiele. Podobnie ona.

– Na dobry początek stawiałaś się z pacjentką.

– Mogę zostać?

Wahał się, ale rozsądek wziął górę, bo dla niego najważniejszy był szpital.

– Zjawiasz się niezapowiedziana, deklarujesz chęć do pracy i uważasz, że od razu powinienem cię przyjąć?

– Na to liczyłam. Możesz poczytać o mnie w internecie.

– Nie omieszkam, – Ale i bez tego wiedział o niej wystarczająco dużo.

Nie miał też podstaw wątpić, że Shanna jest tym, za kogo się podaje. Mimo to za przeszkodę uznał własne emocje, a cokolwiek Shanna miała robić, winno pozostać na płaszczyźnie zawodowej. Od tej pory przestanie być wspomnieniem z wakacji, stanie się jednym z wolontariuszy. Zrobiło mu się trochę żal, bo lubił te włoskie wspomnienia.

– Jesteś bardzo ostrożny.

– Muszę. – Uśmiechnął się. – Nigdy nie wiadomo, kto wyjdzie z dżungli i poprosi o pracę.

– Ben, dziękuję za tę szansę. Powiedz, co mam robić, a potem wskaż mi właściwy kierunek.

Wskazał na drzwi.

– Popołudniowe wizyty u pacjentów. Możesz... mi towarzyszyć, żeby zobaczyć, jak funkcjonujemy. Potem, jak odpoczniesz... – uśmiechnął się chytrze – i dokładnie cię sprawdzę, zapoznam cię z całym naszym grafikiem.

Nie bardzo wiedział, dlaczego ma mu towarzyszyć podczas wieczornego obchodu, tym bardziej że miał ją traktować jak innych ochotników, a ich nigdy z sobą nie zabierał. Lubił te samotne wyprawy, bo mógł wtedy, idąc, rozmyślać, więc co mu strzeliło do głowy?

– Widzę, że nie masz do mnie za grosz zaufania.

– Znasz to powiedzenie, żeby przyjaciół trzymać blisko, a prześladowców jeszcze bliżej...

– Wrogów – poprawiła go. – Wrogów trzymaj jeszcze bliżej.

Nie dostrzegał w niej nic, co mogłoby uczynić z niej wroga. Za to nie uszła jego uwadze jej... kruchość?

– Póki co niech zostanie prześladowca.

– Czy masz jakieś łóżko dla prześladowcy? – zapytała, dopiwszy herbatę.

W domu dla gości aktualnie mieszkała Amanda z rodziną, dopóki nie skończy się budowa ich domu, a wszystkie miejsca przeznaczone dla wolontariuszy były już zajęte, więc wybór miał praktycznie żaden. Jego dom był taki sam jak pozostałe: znajdowały się tam dwa mieszkania rozdzielone korytarzem. Jako właściciel placówki korzystał z przywileju posiadania całego domku. Jedna połowa była magazynem, w drugiej mieszkał. Zanosiło się, że będzie zmuszony z kimś go dzielić. Interesująca perspektywa.

– Zajmuję pół domku, który mijalaś po drodze.

– Pół domku?

– Więcej mi nie potrzeba.

– Będziemy pod jednym dachem? Mam mieszkać w tej niepotrzebnej

części?

– Tak. Będiesz miała pokój z łazienką i mały salonik. Poproszę kogoś, żeby wyniósł moje rzeczy. – Wszystko, co składało się na jego życie, mieściło się w tym domku, spakowane w trzech, może czterech kartonach.

– Bardzo praktyczne. Zważywszy że cię prześladowę –

Kaszlnął. Co można powiedzieć, gdy najpiękniejsza kobieta pod słońcem nazywa faceta praktycznym? Nic. Gdy kobieta uzna mężczyznę za praktycznego, dalej się nie posuną, ale przecież zależy mu właśnie na tym, nie? Ograniczą się do wizyt u pacjentów. Tak, dobrze być praktycznym, gdy chodzi o Shanę.

## ROZDZIAŁ TRZECI

– Kto to jest?! – Amanda niemal wepchnęła go do szafki w szpitalnym holu. – I dlaczego wprowadza się do twojego domku?

– Każdy domek jest przeznaczony dla dwóch osób. I nie wprowadza się do mnie, tylko do drugiej połowy.

– Nie kręć! Chcę wiedzieć, kto to jest i czy to ta sama, którą poznałeś w Toskanii? I co tu robi.

– Nie to, co myślisz.

– Nie wiesz, co myślę.

– Wiem. To samo, ilekroć sobie ubzdurasz, że ktoś mi się podoba.

– Aha, podoba ci się ta...?

– Shanna Brooks. I nie, nie romansuję z nią. I tak, to ją poznałem w Toskanii.

– I z nią nie romansowałeś.

– Nie romansowałem.

– Mimo to przyleciała tu za tobą?

– Tak, ale dalej nie pojmuję dlaczego. – Bardzo różnie można interpretować jej oświadczenie, że chce być taka jak on. – Podejrzewam, że chce sobie urozmaicić żywot medyka.

– Jest lekarzem, pielęgniarką, technikiem?

– Lekarzem rodzinnym. Podejrzewam wypalenie.

– I szuka przyjemnego szpitala w dżungli, żeby ją pobudził do życia? – Amanda z uśmiechem pokręciła głową. – Ben, nie bądź naiwny. Ona oczekuje, że ty pobudzisz ją do życia. Okropnie się cieszę. Najwyższy czas, żebyś wypełził z tej swojej nory i zaczął żyć jak człowiek.

– To jest normalna nora i dobrze mi w niej.

Amanda uniosła brwi.

– Muszę przyznać, że masz dobry gust w wyborze współlokatorów. Prawdę mówiąc, mają go wszyscy Robinsonowie. Popatrz, co się przytrafiło mnie i mojemu współlokatorowi. – Poklepała się po wydatnym brzuchu. – Wyszło nam na dobre.

– Bo coś was łączyło. – Uniósł dłoń, nie chcąc po raz kolejny wysłuchiwać tego samego. – Jest mi dobrze, okej? Daj mi spokój.

– Taa... Piękna kobieta przeleciała za tobą pół świata. To lepiej niż dobrze, a co do zostawienia cię w spokoju... – uściśnęła brata serdecznie – chyba pójde pomóc twojej nowej wolontariuszce się zainstalować.

– Wychodzi ze mną na wieczorny obchód.

– Jak powiedziałam, chyba pójde pomóc twojej nowej wolontariuszce się zainstalować... później.

– Amando, odpuść sobie – warknął. Jego siostra bywa aniołem, ale teraz tylko go rozdrażniła.

– Jak sam twierdzisz, nie mam co odpuszczać.

– I niech tak zostanie.

– Wybrałeś piękne miejsce – oznajmiła Shanna, maszerując obok niego.

– To ono mnie wybrało. Zaistniała tu taka potrzeba, a ja miałem środki, żeby jej zaradzić.

– I założyłeś szpital. Ot tak? – To da niego pasowało. Facet do bólu racjonalny. Ale czy potrafi cieszyć się życiem? Przypomniała sobie w porę, że i ona nie ma powodów do radości nawet po tym, jak rozstała się z medycyną, a w konsekwencji z resztą dawnego życia.

Postawiła sobie wtedy za cel zjechać cały świat, dobrze się bawić,

zapomnieć o frustracji, o tym, co wywołuje w niej złość albo smutek. Miała się koncentrować na tym, co w danej chwili dobre, by potem wrócić do normalnego życia i zobaczyć, czy to się sprawdziło. Teraz trzeba pracować nad sobą, nie czas na dobrą zabawę. Pora znowu być lekarzem, ale bez zaangażowania emocjonalnego.

– To nie takie proste, ale można powiedzieć, że tak, że ot tak założyłem szpital. Razem z siostrą. Amanda pracuje tu od niedawna, ale współpracą jest od początku.

– Dlaczego w Argentynie? – Bo w takim odizolowanym miejscu łatwiej walczyć z demonami? Być może pomaga mu w tym ciężka praca w trudnych warunkach.

– Wyprzedzając twoje pytanie, nie, nie izoluję się od świata, bo jestem alkoholikiem, a tu jest mniej pokus. Wcale nie jest ich tu mniej. I wcale nie uważam, że się izoluję. Przez jakiś czas pracowali tu też moi rodzice, a siostra jest Indianką.

– Myślałam, że ma to związek z tym twoim... nazwijmy to demonem, ale nie...

– Na pewno nie.

– To dobrze, że wybrałaś Argentynę, bo ci się tu podoba albo że zaangażowanie emocjonalne pomaga ci tu wytrwać. Poza tym uporałaś się z uzależnieniem, więc jestem pełna uznania. Mam nadzieję, że to dla ciebie nie problem, bo mnie to nie przeszkadza.

– Shanno, tylko tobie o tym powiedziałem.

– I to wystarczy. Każdy popełnia błędy. Ja też nie mam czystego sumienia. – Niezdyscyplinowanie, niewłaściwy mąż. – Ale człowiek żyje i się uczy, albo żyje i się nad sobą rozczula. Ty się tu nie rozczulasz i to jest ważne.

Przytaknął.



– Od dawna jestem zakochany w Argentynie. Jej mieszkańcy potrafią docenić nasz wysiłek, nawet w sytuacjach traktowanych przez większość placówek zdrowia jako mało ważne. Dajesz im na ból głowy aspirynę, a oni są ci za to wdzięczni. Nie to co gdzie indziej. Dajesz pacjentowi aspirynę, a on uważa, że został źle potraktowany.

Doskonale to rozumiała. Jej rodzina zatrudniała całą armię prawników. Kiedyś rozwścieczona pacjentka, której na ból głowy podano aspirynę, podała lekarza do sądu, bo życzyła sobie narkotyku.

– Jak nie zwolnisz, to i mnie będzie potrzebna aspiryna na ból nóg. Nie mogę za tobą nadążyć.

Przystanął.

– Odnoszę wrażenie, że nie miewasz problemów z dotrzymywaniem kroku. Chyba zawsze prowadzisz.

– Nie zawsze – odparła ze smutkiem. – Czasami jestem aż tak bardzo w tyle, że nie wiem, czy uda mi się to nadrobić.

– Ale to nie ma związku z tym, że szybko chodzę.

– Żadnego – odparła zaskoczona jego wrażliwością. Gdyby coś takiego powiedziała byłemu mężowi, nie zrozumiałby. To zmieniło jej opinię o Benie, złagodziło ją i uczyniło bardziej obiektywną.

– Jeżeli zwolnię, to czy mi powiesz, dlaczego chcesz być taka jak ja? Nie wiem, czy chcę być obserwowany.

– Są tacy, którym by to pochlebiało.

– I tacy, którym wydałoby się to podejrzane.

– Albo rozpaczliwe.

– Mam rację, podejrzewając, że znalazłaś się na rozdrożu i nie wiesz, którą drogę wybrać, więc postanowiłaś mnie naśladować? – Szedł zdecydowanie wolniej. – Shanno, to nie ma większego sensu.

– Zdaję sobie z tego sprawę, ale każda z opcji na tym rozdrożu pokazuje mi inny kierunek.

– Więc rzuć monetą.

– To nie takie proste.

– Jak to? Jesteś lekarzem, to całkiem niezła droga. Trzymaj się jej i zastanów, czy w dalszym ciągu chcesz leczyć ludzi.

Właśnie to robi, ale Ben nie musi o tym wiedzieć, zwłaszcza o tym, że usiłuje się dowiedzieć, jak odciąć się od emocji. Tu, w szpitalu Caridad, ma szansę pracować na równi z lekarzem, jakim sama powinna się stać, by przetrwać. Z lekarzem, który nie płacze, gdy umiera pacjent. Dziadek jej wytknął, że jest mięczakiem, ojciec mu wtórował i nikt z całej rodziny nie wystąpił w jej obronie, a to oznacza, że zgadzają się z nim w stu procentach.

Ale wystarczy popatrzeć na klan Brooksów, jej rodziców, dziadków, braci, pryncypialnych lekarzy rodzinnych. Dlaczego mieliby ją wspierać? To ona nie pasuje, to ona jest czarną owcą, więc jeśli chce wrócić do stada, musi się zmienić. Jednak nie była pewna, czy tego pragnie. Mimo to szuka opcji, a do tej pory Ben okazał się opcją najlepszą.

– Kocham ten zawód, ale teraz przyglądam się wszystkim drogom.

– Ta droga prowadzi do Very Santos, która w zeszłym roku miała udar, ale radzi sobie całkiem dobrze. Opiekuje się wnukami, kiedy ich rodzice są w pracy. Kocha jeść, zwłaszcza to, co podwyższa ciśnienie.

– Jakie bierze leki? Furosemid czy chlorothiazyd?

– Nie bierze żadnych leków, za to je więcej ryb, ziarna i czosnku. Oraz ogranicza słodczy.

– Skutecznie?

– Nie bardzo.. W dalszym ciągu ma za wysokie ciśnienie, ale nie aż tak jak rok temu. Uważam, że to sukces.

– Sukcesem byłoby namówić ją na leki.

– Nic z tego. Vera nie ufa naszej medycynie.

– Nie jest leczona?! Chyba wiesz, że niekontrolowane nadciśnienie dziesięciokrotnie zwiększa ryzyko wystąpienia kolejnego udaru. Nie można do tego dopuścić. – Znowu dała się ponieść emocjom.

– Shanno, Vera jest leczona. Odżywia się lepiej, trochę schudła, ciśnienie ma niższe, odwiedzam ją raz w tygodniu albo częściej, kiedy czuje się gorzej. Ale nie mogę na siłę wciskać jej leków. – Otworzył furtkę.

– Fajnie byłoby dawać jej lekarstwa, ale mogę zrobić tylko to, na co ona mi pozwoli. Alternatywą byłoby nie robić nic.

Oto Ben, który nie angażuje się emocjonalnie.

– Vera zna konsekwencje – podjął wątek. – Za każdą wizytą jej o nich przypominam. Ale to jej decyzja i to ona poniesie te konsekwencje.

Kwestia wyboru i konsekwencji nie była Shannie obca. Utrata rodziny, z czym się liczyła, to jednak nie to samo co utrata życia, a tym ryzykowała Vera. Już się zaangażowała? Nie stoi nad nią dziadek i nie zarzuca jej, że jest mięczakiem. Jest tutaj, żeby po prostu pomóc Verze.

– A jak ją przekonam? Żeby zgodziła się na leki.

– Jesteś tego pewna?

– Jestem pewna, że znam naturę ludzką. I siebie.

– Jak jesteś taka pewna, to umowa stoi. – Uśmiechnął się łobuzersko. – Jak ją przekonasz, to po obchodzie oprowadzę cię po wsi i zabiorę do stołówki na kolację.

– Więc niech się pan, doktorze, na to przygotuje – ostrzegła go – bo ja już się cieszę na ten nocny wypad.

– Co dostanę, jak Vera się nie zgodzi?

– Zgodzi się, zgodzi.

– Ale jak się nie zgodzi, to co będę z tego miał?

Zastanowiła się.

– Przeprosiny pełne skruchy?

– Za mało – odparł z pokerową miną.

– Zauważyłam, że pijesz *yerba mate*, więc będę ci ją parzyła i podawała, ile razy zechcesz, przez cały jeden dzień. Oczywiście, pomijając czas dla pacjentów.

– Okej, *yerba mate* przez cały tydzień. Plus skruszone przeprosiny.

Umowa stoi.

– Twardy z ciebie zawodnik, ale wiem, że wygram.

Przedstawivszy się pacjentce, wyjaśniła po hiszpańsku, że przybywa z zamiarem porozmawiania z nią o zdrowiu i o tym, by jak najdłużej mogła opiekować się wnukami.

– Posługujesz się wnukami, żeby przekonać ją do leków? To manipulacja.

– Nie manipulacja, a spryt. – Uśmiechnęła się. – Jesteś zły, że nie wpadłeś na ten pomysł.

– Skąd wiesz, że o tym nie pomyślałem? Albo już jej tego nie mówiłem?

– Bo jesteś zły. Gdybyś spróbował tego chwytu i niczego nie osiągnął, to teraz byś mnie wyśmiał. A gdybyś spróbował i by się udało, to dzisiaj byśmy do niej nie przychodzili. – Weszła do środka, po czym zwróciła się do Bena. – Czy program wieczoru przewiduje tańce?

W odpowiedzi wznosił wzrok do nieba. Nie odezwał się, nie uśmiechnął. Udaje, że jest zły, pomyślała. A to znaczy, że nie jest aż tak nieprzystępny, jak jej się wydawało. Spora niespodzianka.

– Okey, wygrałaś – przyznał, gdy wyszli.

– Powiedział facet, który przegrał zakład. – Ledwie za nim nadażala, ale prawdę mówiąc, była zbyt skonana, by się przejmować, że zostawi ją w dżungli. Marzyła tylko, żeby znaleźć się w łóżku i zasnąć.

– Przyznał facet, który żałuje, że sam tego nie wymyślił. To, co jej powiedziałaś, wcale nie było odkrywcz. Tak, szkoda, że sam na to nie wpadłem.

– Na co? – Sapnęła, przystając, by złapać oddech.

– Dobrze słyszałaś. Nie będę powtarzać, żebyś mogła triumfować. – Zatrzymał się.

– To tylko... satysfakcja. – Ze zmęczenia ledwo mówiła.

– Shanno... – Rzucił się ku niej, ale powstrzymała go gestem. – Dobrze się czujesz?

– Zdaje się, że jestem bardziej wyczerpana, niż myślałam. Niełatwo tu się dostać.

– Zmiana stref czasowych, wilgotność powietrza...

Przytaknęła, biorąc głęboki wdech.

– Ben, trudno tu się żyje?

– Nie bardzo. Inaczej, ale można się przyzwycząić.

– Mam nadzieję... – Wyprostowała się i ruszyła za nim, ale nie próbowała go dogonić. Oto człowiek, który ma cel. Wszystko ma poukładane. Nie robi niepotrzebnych ruchów. Może to i dobrze, ale czy nie czuje się samotny?

Po chwili zniknął jej z oczu. Dobrze się złożyło, bo poczuła, że musi przysiąść. Zrzuciła już nawet plecak, ale przypomniała jej się Ines i wąż. Jakie inne zwierzęta czyhają w mroku?

– Jaguary – usłyszała za plecami głos Bena. – Kuguary, a czasami dzikie świnie. Oraz węże.

Odwróciła się gwałtownie.

– Skąd się tu wzięłeś?!

– Zawróciłem. Widziałem, że masz zamiar usiąść, więc domyśliłem się, że jeżeli masz trochę oleju w głowie, to się zastanowisz, jakie zwierzęta mogą ci tu zagrozić. Aha, jak chcesz wiedzieć, to pochodzę z Kalifornii.

– Wcale mi nie do śmiechu – zachnęła się. Czują, że ze strachu serce podskoczyło jej do gardła.

– Przebywanie tutaj w nocy wcale nie jest zabawne. To jedna z tych różnic, do których trzeba się dostosować.

– Zawsze zabierasz wolontariuszy w nocy do dżungli i ich straszysz?

– Nie przyszło mi to do głowy, ale to dobry pomysł.

Roześmiała się. Słyszała to w jego głosie.

– Już ci powiedziałam, że jesteś twardy, ale teraz dodam, że jesteś okrutny. Twardy i okrutny. Ktoś już ci to mówił?

– Parę razy. Ale moim zdaniem, nie zależy mi na tym, żeby moich wolontariuszy pożarły dzikie zwierzęta. Chyba by cię to nie spotkało, bo jaguara nie widziano tu od lat. Ale lepiej dmuchać na zimne, nie?

Nie dość, że się śmieje, to jest mu naprawdę wesoło. Jest w swoim żywiole? Utożsamia się z nocą? Cieszy go, że może się izolować? Nietrafiona analiza. Ta mroczność to maska. Psycholog zapewne by powiedział, że to po to, by odstraszać innych. Ale ona dostrzegła w nim przeciwieństwo mroczności.

– Nie lepiej było mnie ostrzec niż straszyć?

– Byś się do tego zastosowała? Wątpię. Wyglądasz na osobę, która wszystko robi po swojemu. I dostaje po głowie. Stawia czoło jaguarowi, żeby dowieść, że to faktycznie jaguar.

Trafnie ją ocenił, ale mu tego nie powie.

– Innymi słowy, dostaję nauczkę, dając się pożreć jaguarowi?

– Shanna, po co tu przyjechałaś? Nie mów, że chcesz być taka jak ja, bo nikt, kto mnie zna, by tego nie chciał.

– Ale ja cię nie znam, mimo że w Toskanii spędziliśmy razem sporo czasu.

– Nie po to przyleciałaś do Argentyny, żeby mnie poznać. Może dlatego, że znalazłaś się na rozdrożu.

Ale życie tutaj dramatycznie różni się od twojego życia, podobnie jak sposób uprawiania medycyny. Tutaj nic nie jest proste. Nawet ścieżka do wioski.

– Być może szukam tego, co dramatyczne i trudne.

– Nie wierzę.

– Nie musisz. Jeżeli pozwolisz mi tu pracować, oboje na tym skorzystamy. Po co to komplikować?

Wzruszył ramionami.

– To prawda, nie ma takiej potrzeby. – Podniósł z ziemi jej plecak. – Robi się późno, a mamy jeszcze dwóch pacjentów, więc się pospieszmy. – Objął ją w talii, ale tylko po to, by ją wesprzeć. – Oprzyj się na mnie. Za kilka minut będziemy w szpitalu.

– Ben, przepraszam. Normalnie mam więcej sił. Nie przewidziałam, że będę aż tak wykończona.

– Nie przepraszaj.

Szli w milczeniu. Opierając się na nim bardziej, niż musiała, cieszyła się, że to właśnie on jej pomaga.

## ROZDZIAŁ CZWARTY

– Brat mnie przysłał, a poza tym chciałam cię poznać, zwłaszcza po tym, co słyszałam. – Amanda postawiła tacę z kawą i ciasteczkami na stoliku przy łóżku. – Amanda Kenner – przedstawiła się. – Jestem współzałożycielką tego szpitala i pediatrą. Zrobiło na mnie wrażenie, że przyleciałaś za Benem z Włoch do Argentyny.

– Która godzina? – mruknęła Shanna, podciągając się na poduszce. Miniony wieczór pamiętała jak przez mgłę. Tyle tylko, że dotarli do szpitala i że zaraz potem padła. Leży teraz na łóżku ubrana i czuje się wypoczęta. Zauważyła na podłodze swoje buty i skarpetki. Ben je zdjął?

– Po dwunastej. Chciałam cię obudzić na śniadanie, bo nie jadłaś kolacji, ale Ben uznał, że snu potrzebujesz bardziej niż jedzenia. Dłużej nie wytrzymałam, bo jesteś mi potrzebna. Normalnie dajemy wolontariuszom dwa dni na aklimatyzację, ale się nie wyrabiamy.

– Oczywiście, że mogę pracować. – Shanna usiadła, odgarnęła włosy z twarzy, po czym ziewnęła. – To prawda, że przyleciałam tu za Benem, ale go nie prześladuję.

– Nieważne, jakie masz powody – odparła Amanda z uśmiechem. – Cieszymy się, że jesteś. Zawsze potrzebujemy wolontariuszy, a sądząc po tym, jakie zrobiłaś *entree*, jesteś dobra. Wracając do twoich obowiązków...

Sympatyczna ta jego siostra, w przeciwieństwie do niego otwarta. I bardzo go kocha. Chyba też bardzo jej zależy, by brat kogoś sobie znalazł.

– Nie ma sprawy, ale daj mi pół godziny na jedzenie i doprowadzenie się do porządku. Przywykłam do pracy o nieludzkich porach, ale tutaj wszystko jest inaczej, a jeszcze nie bardzo potrafię się przestawić.



– W twoim rodzinnym centrum na pewno pracowało się bardzo ciężko. A ja jako współwłaścicielka tego szpitala mogę powiedzieć, że pracuję tu ciężiej niż w moim dawnym szpitalu w Teksasie. Myślę, że to z powodu odpowiedzialności, jaka na nas ciąży.

– Ben wie, kim jestem? – zaniepokoiła się Shanna.

Nigdy nie chwaliła się rodzinnym imperium medycznym. Już jako dziecko zorientowała się, że jako najmłodsza w lekarskiej dynastii jest naznaczona szczególnym piętnem i wygórowanymi oczekiwaniami, ale chciała być lekarzem, nie członkiem znamienitej rodziny Brooksów. Nie potrafiła tego połączyć.

– Tak. Nawet mi powiedział, gdzie mam o tobie przeczytać. Ale skoro nie wiedziałaś, że on wie, to muszę cię ostrzec, że mój brat złożył kiedyś podanie o rezydenturę w waszym szpitalu.

– Był tam rezydentem? – Nie przypomiwała go sobie.

– Nie, nie był. Został odrzucony.

– Jak to? – wykrztusiła Shanna.

Amanda przestała się uśmiechać.

– Zrobił złe wrażenie. Miał najwyższe oceny oraz wyjątkowe predyspozycje, ale uznano, że jest zbyt pewny siebie. Ostatecznie wylądował w szpitalu w Nowym Jorku, co wyszło mu na dobre.

Jak potraktować tę dziwną informację?

– Co mam mu powiedzieć?

– Nic. On nie chowa urazy.

– Kamień spadł mi z serca, bo chciałam zatrzymać się tu na dłużej.

– Jeśli zgadzasz się na wielogodzinną trudną robotę, brak zapłaty i robactwo... – Amanda strzepnęła z ramienia komara. – Pewnie to samo miałybyś w Brooks Medical Center minus brak zapłaty oraz tych wstrętnych

owadów.

– Pieniądze to nie problem, a z owadami sobie poradzę. W szkole pasjonowałam się entomologią. To ja straszylam braci owadami, nie oni mnie. To był świetny sposób, żeby się na nich odegrać. Robal wrzucony do buta albo stonoga do szkolnego plecaka... – Uśmiechając się, sięgnęła po kubek z kawą. – No, nareszcie czuję się jak człowiek.

– My z Benem nie robiliśmy sobie takich numerów, trzymaliśmy sztamę. Walczyliśmy z dzieciakami, które nas przezywały, rzucały w nas kamieniami albo nie pozwalały przejść obok swoich domów. Od dziecka byliśmy sprzymierzeńcami.

– Fajnie – szepnęła Shanna smętnie. – Moi rodzice byli... zapracowani. Nie mieli czasu dla dzieci. Moich dwóch braci i mnie wychowywała niania, która bardzo się starała, ale nie potrafiła nam wpoić poczucia więzi rodzinnej, więc nie byliśmy sobie tacy bliscy jak ty i Ben. Myślę, że jako najmłodszej bardzo mi zależało na ściągnięciu na siebie uwagi i stąd te robaki.

– Dynamika rodziny. – Amanda pogładziła się po brzuchu. – Zaczynam jej doświadczać z innej strony.

– Przyjemne? – Znała odpowiedź, bo Amanda sprawiała wrażenie kobiety, która ma wszystko. Tylko pozazdrościć.

– Bardziej niż sobie wyobrażałam. No, daję ci godzinę. Jak się ogarniesz, rozejrzyj się po szpitalu. Przydzieliłam ci izbę przyjęć, która nie przypomina izby przyjęć, ale jest tam mnóstwo pracy, a mamy jednego lekarza mniej, dopóki nie wróci mój mąż...

– Jack Kenner?

– Słyszałaś o nim? – Amanda uśmiechała się szeroko.

– Sławny epidemiolog. Trafił się nam w szpitalu trudny przypadek, więc chcieliśmy zasięgnąć jego opinii, ale akurat przebywał w Afryce, gdzie

zwalczał malarię. Dziadek proponował mu górę pieniędzy, chciał wysłać po niego prywatny odrzutowiec, ale twój mąż okazał się człowiekiem przyzwoitym. Został w Afryce. – Shanna upiła łyk kawy. – Nie mogę się doczekać, kiedy go poznam. To będzie dla mnie wielki zaszczyt.

– Myślę, że Ben zajdzie do izby przyjęć, a jak nie, to poproszę którąś z pielęgniarek, żeby cię wprowadziła.

Godzinę później przekonała się, że było to poważne niedomówienie. Ledwie weszła do izby przyjęć, otoczyło ją kilkudziesięciu pacjentów, którzy jeden przez drugiego mówili, co im dolega albo próbowali ściągnąć na siebie jej uwagę. Lekarz dyżurny Vance

Hastings, drobny starszy mężczyzna, wyglądał, jakby lada chwila miał zemdleć.

– Jestem na to za stary – oświadczył, ocierając pot z czoła. – Dziesięciogodzinne dyżury to nie dla mnie.

– W końcu się uśmiechnął. – Ale gdybyś potrzebowała pomocy, to jedną, dwie godziny jeszcze wytrzymam.

– To może na początek zalecę ci odpoczynek – roześmiała się Shanna – a jak później uznam, że twoja pomoc jest nieodzowna, to po ciebie przyjdę.

– Dzięki, dziecko. Uratowałaś staremu człowiekowi życie.

Zastanowiło ją, dlaczego stary człowiek tak się poświęca, skoro sprawia mu to taką trudność. Ale jak naprawdę jest to trudne, poczuła już pod koniec pierwszej godziny. Zaczęła nawet wątpić, czy wytrwa jeszcze dziewięć godzin.

– Harówka, prawda? – rzucił Ben, wchodząc do kabiny, w której opatrywała dziecku stopę.

– Tak jest codziennie? – Gdy matka z dzieckiem wyszła, oparła się o ścianę, by zrobić sobie krótką przerwę.

- Bywa gorzej.
- Czyli bywa też lepiej.
- Raczej nie. Na pewno nie w lecie, kiedy ludzie są bardzo aktywni.

Lżej jest w zimie, ale ty tego nie doczekasz.

– Tak uważasz? Nawet po tym, jak przemierzyłam pół świata, żeby robić to, co robię?

– Uważam, że tak długo nie wytrzymasz. Shanno, jestem bardzo nieciekawym facetem. Ja tylko pracuję. Jak zaczniesz dostrzegać we mnie to, co chcesz dostrzec, zorientujesz się, że... nic nie ma. Jeżeli sprowadziła cię tu fascynacja, wyjedziesz jeszcze przed zmianą pogody.

– A jak nie wyjadę?

– Prowokujesz, żebym znowu się założył? Tym razem na pewno przegrasz.

– Jak przegram, będę do końca pobytu robić ci *yerbę*. Ale przede wszystkim uprzedzę cię o wyjeździe. Jak wygram, będą mi się należały po pierwsze przeprosiny, po drugie co rano kawa do łóżka, też do końca pobytu.

– Który nastąpi na długo przed ochłodzeniem.

– Chcesz, żebym wyjechała? – Nie była tego pewna.

– Nie lubię rozstawać się z dobrym lekarzami, ale myślę, że i Brooks Medical Center też tego nie lubi.

– Od kiedy wiesz o tym?

– Zajrzałem do internetu, zanim wybraliśmy się do Very Santos. W Toskanii mnie to nie interesowało, bo nie dotyczyło mojego szpitala, ale sprawa stała się pilna, kiedy oznajmiłaś, że chcesz tu zostać jako wolontariuszka.

– Nie poinformowałeś mnie.

– Nie, bo każdy ma prawo do prywatności, nawet Shanna Brooks, która

awansowała do funkcji wicedyrektora rodzinnego centrum opieki zdrowotnej kilka dni przed wylotem. Oficjalnie udała się na urlop, aby wypocząć przed objęciem nowych obowiązków. Pomyślałem, że jak zechcesz, sama mi o tym powiesz. Nie zrobiłaś tego, więc przestałem się przejmować.

– Między mną i dziadkiem doszło do różnicy zdań w kwestii terapii pewnej pacjentki. W konsekwencji uznałam, że muszę sporo przemyśleć oraz że będzie to niemożliwe, jeżeli będę dalej pracować.

– Złamałaś procedury?

– Próbowałam. Moja pacjentka była w terminalnym stadium choroby nerek, a ja wciągnęłam ją na listę oczekujących na przeszczep. Dziadek ją skreślił, bo nie mieściła się w limicie wieku. Usiłowałam go przekonać, ale mi się nie udało, a pacjentka zmarła.

Cicho zagwizdał.

– Współczuję. Z bezradnością trudno się pogodzić.

– Jeszcze trudniej, Ben, gdy jest się współwłaścicielem firmy, a cała rodzina jest przeciwko tobie.

– Wzięłaś to do siebie?

– Tak, bardzo. Powinnam była ją ratować. Jej rodzina tego ode mnie oczekiwała. Sama od siebie tego oczekiwałam. – Przymknęła oczy, by wymazać z pamięci dzień, w którym musiała przekazać pacjentce złą wiadomość. Tak, ma miękkie serce, ale mało ją to obchodziło. Potem w gabinecie się popłakała i skopała kubek na papiery. Dziadek nazwał ją mięczakiem. „Nie myśl sobie, że w tym zawodzie słaby osobnik może się sprawdzić”.

Jest słaba. To słowo zaważyło na jej decyzji.

– To mnie pogrążyło. Od dziecka z tym walczę. I walczyłam jak lwica o tę pacjentkę, ale... – Wzruszyła ramionami. – Okazałam się za słaba, więc

wzięłam urlop i pojechałam do Toskanii. Reszta to przeszłość. Koniec końców znalazłam się w Argentynie. – Czy kiedykolwiek będzie miała wystarczająco dużo siły, by sprawdzić się jako lekarz, czy zawsze na przeszkodzie staną emocje?

– Wylądowałaś w Argentynie, z czego szpital Caridad jest bardzo zadowolony. Zastanawiam się jednak, czy nie lepiej było zostać w Brooks Medical Center i tam szukać rozwiązania.

– Ben, problemem nie jest Brooks Medical Center, tylko ja. Nie mogłam zostać, bo przestałam tam się widzieć. Nie martw się o Caridad. Nie pozwolę, żeby problemy negatywnie wpłynęły na moją pracę. Nie myśl, że nagle odejdę, zostawiając was na lodzie.

– Wcale tak nie myślę.

– Skąd taka... ufność? Na twoim miejscu postąpiłabym inaczej.

– To nie kwestia zaufania. Po prostu niczego od nikogo nie oczekuję. W ten sposób co będzie, to będzie, a mnie nie spotka rozczarowanie. Tak chcę żyć i to mi odpowiada.

Możliwe, ale skąd ten smutek w jego oczach? Może wcale nie chciał, by jego życie tak wyglądało?

– No cóż... – Wskazała sąsiednią pustą kabinę. – Jeżeli akurat jesteś wolny, to może byś przyjął parę osób? Szkoda, żeby się to miejsce marnowało. – Podeszła do drzwi, by poprosić kolejnego pacjenta. – Jutrzejszy wieczór ci odpowiada?

– Jak to? – zapytał, nie kryjąc zdziwienia.

– Jesteś mi winien kolację. Dzisiaj i jutro mam dyżury, ale jutrzejszy wieczór mam wolny. – Odwróciła się, by na niego spojrzeć. W ciasnej kabinie stał tak blisko, że mogliby się pocałować. – Więc co z tą kolacją? – Jej wzrok padł na blizny na jego szyi. Widziała je już wcześniej, ale dopiero z tej

odległości zorientowała się, że to, co widoczne, jest niewielką ich częścią. Zdała sobie też sprawę, ile musiał wycierpieć, zanim rany się zabiły.

– Jeżeli nie wydarzy się jakiś wypadek, nie osunie się ziemia ani nie wybuchnie epidemia zarazy, to chyba mogę cię zabrać na kolację – odparł, odsuwając się.

Wybuchnęła śmiechem.

– Jeszcze nikt nie posłużył się zarazą jako pretekstem, żeby dać mi kosza.

– Nie dałem ci kosza, a tylko się zastrzegłem, że jeśli wybuchnie epidemia... – Zawahał się, wyminął ją i poszedł do holu po pacjenta, a ona stała, patrząc za nim.

Przystojny facet, świetnie zbudowany, co dodatkowo podkreślał nietypowy jak na szpital strój: bojówki i prosta koszula z rękawami podwiniętymi tuż poniżej łokcia. Do tego ciemne oczy, potargane ciemne włosy... Prawdziwy obiekt babskich westchnień, pomyślała. To wszystko prawda, ale z drugiej strony to facet zamknięty w sobie. Może z powodu blizn, może z innego. Ale to niczego nie zmienia, bo znalazła się tu, by się od niego uczyć, a nie żeby do niego wzdychać.

Lekko kręciło się jej w głowie, bo zaczęła pracę poprzedniego dnia i przez dwadzieścia godzin przyjmowała pacjentów. Dziwiło ją nawet, że po raz pierwszy w życiu tak haruje, jednocześnie czerpiąc z tego niebywałą satysfakcję, a jej organizm nie protestuje. Być może za sprawą adrenaliny albo perspektywy kolacji z Benem.

Tak czy inaczej, czuła, że rozpiera ją energia.

Nie umawiała się na randki od rozwodu, od pięciu lat, a właściwie od siedmiu, jeśli dodać dwa lata małżeństwa, kiedy praktycznie nie żyła z mężem... Nic dziwnego, że teraz tak się denerwuje.

– To nie jest randka – mruknęła, spoglądając w lustro. Poprawiła pomadkę, modnie zburzyła fryzurę. – On tylko spłaca dług. – Honorowy.

– Za godzinę muszę być z powrotem – oznajmił już w progu.

– Dobrze się składa, bo na mnie czeka pasjonujący artykuł medyczny. – Niezbyt uprzejma riposta, ale nic lepszego nie przyszło jej do głowy.

– Więc się pospieszmy. – Nie wchodząc do jej pokoju, wycofał się do korytarza.

– Idź już, dogonię cię. – Zawróciła przed lustro, by zetrzeć pomadkę, a włosy związać w koński ogon.

Gdy zrównała się z nim, nawet na nią nie spojrzał, a w drodze do wioski praktycznie się nie odezwał. Szedł dwa kroki przed nią. I chyba było to zamierzone.

Na skraju wioski nie wytrzymała.

– Może dajmy sobie z tym spokój, bo widzę wyraźnie, że nie masz ochoty?

Przystanął dwa metry przed nią, ale dopiero po kilkunastu sekundach odwrócił się.

– Nie chodzi o to, że nie mam ochoty, tylko o to, że to nie moja bajka.

– Co? Kolacja z kobietą?

– Nie umawiam się z kobietami na kolacje ani nigdzie indziej. Ostrzegalem cię, że jestem nudny. Nie pamiętasz, że w Toskanii nie byliśmy w żadnym lokalu? Dlatego, że nie umawiam się z kobietami.

Tego się nie spodziewała.

– Nie lubisz kobiet? Jesteś gejem?

– Kocham kobiety. – Parsknął śmiechem. – Wyłącznie kobiety. Ale się nie angażuję.

– Co rozumiesz przez zaangażowanie? Bo w mojej bajce godzinna



kolacja w wiejskiej knajpce nie ma nic wspólnego z zaangażowaniem.

– Nawet z końskim ogonem?

Zamurowało ją. To, że odnotował zmianę jej uczesania, było jakimś sygnałem. Ale jakim? Jakiego sygnału by oczekiwała? Bo podobnie jak on ona też unika zaangażowania. Dokument rozwodowy ma jej przypominać, jak przykre mogą być tego konsekwencje.

– Zauważyłeś?

– Shanna, bywam ograniczony w pewnych kwestiach, ale widzę, co się wokół mnie dzieje.

– Ograniczony z wyboru.

– Nie przeczę. – Na szczęście jest szczerzy.

– Ważne, że wiemy, na czym stoimy.

– Ty może wiesz, ale ja nie wiem. Nie wiem nawet, dlaczego tu jesteś. Nie znam prawdziwej przyczyny. Bo ta, na którą się powołujesz, mnie nie przekonuje.

– I to cię peszy?

– Peszy mnie to, że zaplanowałem jedną godzinę na tę kolację, a my tu stoimy i marnujemy cenne minuty.

Nie chce tej kolacji, to oczywiste. Ale nie tylko o nią chodzi. Po co to ciągnąć? Zwłaszcza że rozmowa przy stole nie wyjdzie poza tematy związane z pogodą albo pacjentem cierpiącym na egzemę.

– Wiesz co, Ben? Czuj się zwolniony z tego obowiązku. Masz tę godzinę tylko dla siebie. Baw się dobrze.

Odwróciła się na pięcie i niemal biegiem wróciła do swojego pokoju. Trzasnęła drzwiami, kopnęła taboret, rzuciła się na łóżko i wbiła wzrok w sufit.

Okej, może ulega emocjom, może to nie ten mężczyzna ani to miejsce,

ale jeszcze nie dojrzała do tego, by pogodzić się z opinią dziadka, bo to skazałoby ją na pracę, która jej nie odpowiada. Na samą myśl o przekładaniu przez cały dzień papierków i prowadzeniu firmy robiło się jej niedobrze. Nie tak wyobraża sobie pracę lekarza, ale rodzina nic innego jej nie zaproponuje, chyba że...

– Chyba że nauczę się być taka jak Ben. – Poczula ucisk w gardle. Bycie jak Ben to żadne zwycięstwo, to ustępstwo. – Shanna, zrób to – szepnęła, obserwując barwne motylki trzepoczące pod sufitem. Z zadumy wyrwało ją pukanie do drzwi.

– Idź sobie! – zawołała, czując, że to Ben.

– Według mojego zegarka mam jeszcze ponad pół godziny! – odkrzyknął.

– Potraktuj to jak prezent. I nie mów, że zaznaczyłeś to w kalendarzu i nic nie możesz zmienić.

– Zaznaczyłem. Atramentem.

Wbrew sobie się roześmiała. Ben Robinson jest tak towarzyski jak różowy pancernik, argentyński zwierzak, który przestraszony potrafi w kilka sekund zagrzebać się w ziemi, ale w zachowaniu Bena pancernika było coś ujmującego.

– Jak obiecasz, że się od razu nie zagrzebiesz w piasku, to możesz wejść. Drzwi są otwarte.

– Czy to jest zaproszenie? – Uchylił drzwi.

– Możesz to tak potraktować. – Nie wiadomo dlaczego chciała, żeby wszedł do środka.

– Zrozum... – zaczął, zatrzymując się w progu. – Żyję na odludziu... i zapominam, jak coś powinno wyglądać.

– Na przykład zwykła grzeczność?

Pokiwał głową.

– Hm... wiem, nic mnie nie usprawiedliwia. Byłem nieuprzejmy i przepraszam. Tak skutecznie unikam okazji towarzyskich, że zapomniałem, że w tej kwestii ktoś może mieć wobec mnie pewne oczekiwania, bo sam tego nie oczekuję. Nie chciałem cię obrazić. Prawdę mówiąc, cieszyłem się na...

– Jedną godzinę – weszła mu w słowo.

– Okej, przepraszam po raz drugi, bo zdaję sobie sprawę, że ustalanie limitu czasu było niestosowne. Chciałem się zabezpieczyć.

– Przed czym? – Usiadła na brzegu łóżka. – Przede mną? Podejrzewasz mnie o takie zamiary? Że przyleciałam z Włoch do Argentyny, żeby cię uwieść? Gdybym chciała cię uwieść, zrobiłabym to w Toskanii, a teraz popijałabym wino w paryskim bistro, zamiast w Argentynie leżeć na łóżku i przyglądać się ćmom.

– W co mam uwierzyć? Wmawiasz mi, że tu jesteś, żeby stać się taka jak ja. Jeśli tak jest naprawdę, to kwalifikujesz się do psychiatryka, ale ja nie mam cię za wariatkę.

– Ben, szukam w sobie nowej siły, żeby się czemuś całkowicie poświęcić, bo tam, gdzie byłam, jej nie znalazłam. Zaintrygowałeś mnie i dlatego tu jestem. Żeby uczyć się od ciebie, jak znaleźć w sobie siłę. – Siłę rozumianą jako obojętność albo dystans, ale mu tego nie powie, żeby nie sprawić mu przykrości.

Kręcił głową.

– Obserwując cię w szpitalu, widzę, że pracujesz z ogromnym sercem, że się angażujesz. Czy to nie jest twoja siła? – Podał jej rękę. – Nie marnujmy reszty wieczoru na filozoficzne rozważania. Wstawaj.

Przyjrzała się uważnie jego delikatnej dłoni.

– Pójdę, ale tylko dlatego, że masz to wpisane do kalendarza

atramentem, a jak coś jest napisane atramentem, to już tego nikt nie zmieni.

– Zazaczyłem to piórem, żeby nie móc się wykręcić.

– Przez godzinę? – Ujęła jego dłoń.

– To ci otwierało drogę odwrotu. Nie jestem najciekawszym facetem pod słońcem, więc uznałem, że na jedzenie wystarczy nam godzina, a jak uznasz, że więcej niż godzina ze mną to koszmar, będziesz mogła elegancko się wycofać. Ale jest pewna szansa.

– Na co?

– Na dłużej. Pod tą datą już nic więcej nie jest napisane atramentem.

– To znaczy, że jeżeli pierwsza godzina będzie udana, mogę negocjować? – Normalnie za coś takiego wyrzuciłaby go za drzwi, ale w jego obecności od czasu do czasu przesywał ją intrygujący dreszczyk. Poza tym ją fascynował. Jego dziwaczne podejście do życia mogło się dla niej okazać właściwym punktem wyjścia.

– O ile będziesz miała chęć negocjować.

– Doktorze, pan święcie wierzy, że jest pan nudny?

– zapytała, wstając. – Czuję, że zanosi się na nowy zakład. Lubię tańczyć, a to nie wyklucza tanga. To tylko ostrzeżenie.

Co go tak w niej intryguje? Jest ładna, nawet piękna. Płomiennie ruda i ma oczy jak szmaragdy. Mimo pustki w sercu patrzy na nią z przyjemnością. Mimo wszystko jest człowiekiem. Co jeszcze? Jej porywająca osobowość? Shanna przyciąga ludzi tak, jak przyciągnęła jego tamtego pierwszego dnia w Toskanii, kiedy go zagadnęła, a on szybko się oddalił.

Na myśl, że mogliby tańczyć tango, zwłaszcza to argentyńskie, zmysłowe... Nie, nie dopuści do tego. W drodze do wioski jego myśli koncentrowały się właśnie na tym... do czego nie dopuści. Ale im bardziej nie chciał o tym myśleć, tym bardziej go to prześladowało. Zrelaksował się

dopiero, gdy zasiedli w *restaurante aereo fresco* i Shanna zagłębiła się w lekturze menu napisanego kredą na tablicy wiszącej na ścianie.

– Jeśli mogę ci coś polecić, to *bife a caballo*. Na kolację je się tu tradycyjnie wołowinę, *a caballo...*

– Na koniu?

– Och, zapomniałem, że znasz hiszpański.

– Trochę. To był drugi język w naszym domu.

– Pewnie miałaś hiszpańskojęzyczną nianię. – Skinął na młodziutką kelnerkę, która ruszała się jak mucha w smole, sprawiając wrażenie wyczerpanej.

– Najlepszą nianię pod słońcem... To kolejna korzyść płynąca z przynależności do klanu Brooksów.

– Skąd ten sarkazm?

– To bardziej rozczarowanie niż sarkazm. Kocham Asuncion. Oddałabym jej pod opiekę własne dzieci, gdybym je miała. Z tą różnicą, że sama bym je wychowywała, a jej rolą byłoby zastępować mnie pod moją nieobecność. Nie byłaby moją dublerką. Mnie zastępowała rodziców, bo byli zbyt zajęci. Nie widywałam ich całymi dniami, a nawet wtedy, kiedy byli w domu.

– Poznałem twojego ojca tego samego dnia, kiedy twój dziadek odmówił mi przyjęcia na rezydenturę. Był... robił wrażenie. Zresztą niewiele się różnili.

– Ben, przykro mi, że cię skreślili. Dziadek ma bardzo trudny charakter. Jest nieustępliwy.

– Dobrze mi to zrobiło, bo trafiłem do szpitala, gdzie się nauczyłem wszystkiego, co mi pomaga utrzymać się w takiej placówce jak ta. Było ciężko, ale też ja byłem dobry, więc chyba powinienem dziękować twojemu

dziadkowi, bo miał rację, twierdząc, że osobnik tak arogancki nie sprawdzi się jako rezydent w Brooks Medical Center.

– Naprawdę byłeś arogancki? Bo ja tego nie dostrzegam. Zdystansowany, może nawet zimny i zamknięty w sobie, ale arogancki?

– I to jak.

– Prawda bywa okrutna. – Uśmiechnęła się. – Ja cię widzę inaczej, ale nie krytykuję.

– Nie widzę w tym okrucieństwa. Prawda to prawda, chociaż czasem przykro ją usłyszeć. No ale wtedy byłem agresywny, a zwłaszcza napastliwy. Pewnie za bardzo mi na tym zależało. I jak chcę, to ciągle jest we mnie.

– A chcesz?

– Na krótko. To do niczego nie prowadzi, a koniec końców tylko ja mogę ucierpieć. Więc po co się wysilać, jak nic z tego się nie ma?

– Co byś chciał mieć?

– Nieduży szpital na argentyńskim odludziu.

Westchnęła.

– Nie mogę przeboleć, że dziadek cię odrzucił, ale się cieszę, że wbrew jemu zdobyłeś to, czego chciałeś.

– Wtedy nie dostałem, czego chciałem, ale gdy dojrzałem, to, czego było mi trzeba, samo mnie odnalazło. Stało się, co miało się stać.

Zorientował się, że w jej przypadku jest inaczej. To poszukiwanie nowych sił musiało mieć jakiś związek z jej rodziną, a poszło o coś zdecydowanie więcej niż przegrana w walce o pacjentkę. Jednak pytanie o to byłoby sygnałem, że się zaangażował, więc wybrał bezpieczne wyjście. Powrót do menu.

– *Bife a caballo* to stek z dwoma jajkami sadzonymi, pieczonymi ziemniakami i sałatką. Był to tradycyjny posiłek *gauchos*, zanim konno

wyruszali na rancza, stąd to nawiązanie do konia. Nie wiem, czy miałbym ochotę na jedzenie przed jazdą konną, ale co kto lubi.

– Lepiej nie. Ale ja lubię jeść, więc chętnie spróbuję.

– *Bife a caballo* dwa razy – zaordynował. – Do tego lemoniada?

– Sprawy związane z kolacją załatwione – stwierdziła. – Przeprosiłam cię też za rodzinę, chociaż wątpię, żeby oni kogokolwiek za coś przeprosili. Wszystkie tematy wyczerpane? Czy może jest tyle wspólnych tematów, że będziemy rozmawiać bez końca?

– Moim zdaniem to pierwsze. Tak jest prościej.

– Co masz przeciwko komplikacjom?

– Wymagają za dużo wysiłku. W grę wchodzi odpowiedzialność, a ja mam jej wystarczająco dużo w szpitalu. Nie mam ochoty na więcej.

– Moim zdaniem to ma sens, więc żeby trzymać się prostoty, może byśmy zrobili listę tematów skomplikowanych, o których nie będziemy rozmawiali? No wiesz, żeby wytyczyć sobie granice.

– Też bym to zaproponował.

– Wiem. To chyba dobrze? Skoro jesteśmy tego samego zdania, to myślę, że zdałam pierwszy test.

– Zawsze jesteś taka bezpośrednia?

– Nie, ale to jeden z moich zastrzeżonych tematów.

– Podobnie jak to, dlaczego tu jesteś?

Spojrzała mu prosto w oczy.

– Już powiedziałam, dlaczego tu jestem.

– A ja, że w to nie wierzę.

– Więc dodajmy to do tej listy. Razem z moją rodziną i jej szpitalem.

– Bo to wszystko ma związek z twoim pomysłem wytyczenia granic, o czym wolno nam rozmawiać, tak? Domyślam się, że i o tym lepiej nie

wspominać. – Ona jest inna. Spodobała mu się taka szczerść, nawet brutalna.

– Masz rację. Tego wątku nie dotykamy.

– To nam zawęża pole do rozmów na tematy zawodowe – zauważył.

– Oraz o pogodzie. Jestem za ciekawą dyskusją o upale i wilgotności. – Uśmiechnęła się szeroko.

– Chyba że to jeden z moich zakazanych tematów – odparł ze śmiertelną powagą.

– Wobec tego porozmawiajmy o przypadku stopy końsko – szpotawej, z którym niedawno miałam do czynienia, i o tym, co się wydarzyło, kiedy musieliśmy...

Uciszył ją gestem.

– Liczba mnoga sugeruje, że będzie mowa o twoich kolegach lekarzach albo o waszym szpitalu, a ja nie chcę, żebyś łamała granice. Trzymaj się zasad.

– Które praktycznie wykluczają medycynę?

Teatralnie zmarszczył czoło. Zdawał sobie sprawę, że ta wymiana zdań nie ma większego sensu, ale był to pierwszy raz od bardzo długiego czasu, kiedy wdał się w rozmowę z kimś innym niż Amanda albo Jack.

– Nie całkiem, ale proponuję, żebyśmy uważali.



## ROZDZIAŁ PIĄTY

– Prawie nic nie zjadłaś – zauważył, gdy kelnerka sprzątała ze stołu. – Jak ci nie smakowało, to na pewno w menu było coś innego...

– Nie, nie! Było pyszne, ale ta porcja wystarczyłaby na tydzień dla czteroosobowej rodziny. Kto by to zmieścił? – Uśmiechnęła się, widząc jego pusty talerz.

– Podziwiam cię. Chyba masz tak szybką przemianę materii jak ptaki. To też budzi podziw.

– Dzisiaj przeszły mi przed nosem dwa posiłki, wczoraj też, a przedwczoraj nic nie jadłem.

– Przydałaby ci się gospoia.

– Raczej doba dłuższa o cztery godziny i dodatkowy dzień w tygodniu.

– Cztery godziny i jeden dzień, kiedy byś zapominał o jedzeniu. Mam w związku z tym pytanie.

– Niedozwolone?

– Nie sądzę, ale nie wiem, bo nie rozmawialiśmy o twojej liście tematów zakazanych. Chodzi o Toskanię. Nie wyglądasz na faceta, który myśli o urlopie, a jednak tam się znalazłeś, zrelaksowany...

– Dopóki się do mnie nie przysiadłaś.

– To cię wytrąciło z równowagi?

– W mniejszym stopniu niż kilka tygodni później, kiedy zjawiłaś się w Caridad.

– To było nieuchronne. W obu przypadkach. Usiadłeś przy stoliku, przy którym siadywałam przez cały miesiąc, a do twojej izby przyjęć wtargnęłam z konającą pacjentką, bo był to jedyny szpital w promieniu stu kilometrów. Ale

wróćmy do Toskanii. Jak to się stało? Bo faceci, którzy nie mają czasu na jedzenie, nie mają też czasu na narty.

– To był gwiazdkowy prezent od Amandy i Jacka. Mieliśmy za sobą trudny okres, kiedy dowiedzieliśmy się o rodzicach rzeczy, o których nie mieliśmy pojęcia. Amanda i Jack byli na urlopie wcześniej, więc uznali, że i mnie się coś należy. Nie jestem aż takim samotnikiem, żeby z tego rezygnować, a poza tym zawsze chciałem zwiedzić Toskanię.

– Nie podejrzewałaśby cię o to.

– Mnie też to dziwi, ale nawet ktoś taki jak ja od czasu do czasu ma ochotę na coś pięknego.

– Ben, nie chciałam... – Za późno. Zesztywniał, zamknął się w sobie jak tamtego pierwszego dnia w Toskanii. Innymi słowy jej wieczór z doktorem Robinsonem skończył się tak, jak się zaczął, czyli fatalnie.

– Przepraszam, nie chciałam powiedzieć, że ktoś taki jak ty nie może chcieć czegoś pięknego, jak na przykład Toskania.

– Mimo to masz rację. To nie byłem ja, a ktoś, kto na kilka dni się ode mnie uwolnił.

– Ben, sami kreujemy, kim chcemy być. To proste. Trudniej zdecydować, kto to ma być. Lubiłam faceta, którego spotkałam w Toskanii, ale też lubię tego, który jest w Argentynie. Ten jest inny, mniej zrelaksowany, ma o sobie nie najlepsze mniemanie, ale tak samo daje się lubić jak tamten. Jeśli chce... a to za mało.

– Jeśli chce. To jest ten klucz, prawda? Nie zależy mi, żeby mnie lubiano. Ważniejsze, żeby szanowano mnie jako lekarza, a tu trudniej być lubianym.

– Naprawdę? Mówisz poważnie?

Wzruszył ramionami.

– Shanna, nie jestem niemiły. Staram się nie być niemiły, ale żeby wychodzić z siebie, żeby ktoś mnie polubił albo został moim przyjacielem... Odpowiada mi samotność. Przyzwyczailem się do swojego towarzystwa, akceptuję je.

– Z powodu blizn? – Za późno ugryzła się w język, bo Ben znowu zeszywniał. – To temat zakazany?

– Moje blizny nie mają żadnego związku z czymkolwiek. Tak, wolałbym o nich nie rozmawiać.

Wieczór dobiegł końca. Ben zaczął wysyłać charakterystyczne sygnały: rozglądać się, popatrywać na zegarek, wzdychać. Nie było jej zamiarem doprowadzić do tego, by jedna ze stron nie miała ochoty tolerować drugiej. Ben starał się tego nie okazywać, ale nieudolnie.

– Okej, dodam ten temat do naszej listy. Hm, na mnie czas. Muszę poczytać... i się wyspać. Bardzo przyjemny wieczór. – Energicznie wstała, ale Ben nie ruszył się z miejsca. Siedział, spoglądając na nią, tak nieprzystępny, że zapragnęła szybko wyjść. – Dziękuję – wykrztusiła.

– Nie chcesz deseru? Ani kawy? – zapytał, starając się uprzejmością rozładować atmosferę.

– Jeśli wyjdę teraz, zdążę przeczytać ten artykuł i będę miała dziesięć godzin na sen. – Uśmiechnęła się bez większego przekonania. Chyba czuła się zawiedziona.

W końcu Ben wstał.

– Przepraszam, że tak wyszło. Uprzedzałem cię, że nie nadaję się na salonowca. Nie umiem rozmawiać z pięknymi kobietami. Sama widzisz, dlaczego.

– Ben, widzę człowieka, który zamyka się w sobie. To twój wybór, ale jeżeli robisz to, bo myślisz, że te blizny mają dla mnie jakieś znaczenie albo

dlatego, że twoim zdaniem nie nadajesz się do kontaktów towarzyskich, to się mylisz. Bo mnie ta kolacja sprawiała wielką przyjemność, dopóki nie zamknąłeś się w sobie, kiedy poruszyłam zakazany według ciebie temat. Nie doceniasz się, Ben. I nie doceniasz tego, jak jesteś postrzegany.

– Być może wiem, jak jestem postrzegany, i uznałem, że jest to bez znaczenia.

– To ma znaczenie – upierała się. – I jest mi przykro, że się izolujesz. Teraz wracam do siebie, a ty zostań, zamów sobie deser i kawę. O mnie się nie martw. Wrócę sama.

Nie był to najbardziej koszmarny wieczór w towarzystwie mężczyzny w jej życiu. Gorszy był ten, kiedy poznała swojego przyszłego męża, wieczór, który upłynął pod znakiem transakcji biznesowych. Och, facet był czarujący. Zapewne dlatego, że marzył o funkcji ordynatora chirurgii w Brooks Center, gwarantowanym awansie dla małżonka córki, wnuczki i siostry właścicieli. Dwa miesiące później odbył się ślub.

To spotkanie... nie będzie miało zakończenia. Ben jasno wyłożył swoje intencje. Wychodząc, spojrzała przez ramię na Bena. Regulował rachunek, rozmawiając z kelnerką i przeliczając drobne. Nagle instynktownie zawróciła i biegiem puściła się z powrotem. Kelnerka tymczasem osunęła się w jego ramiona.

– Jakie objawy? – zawołała.

Ben ostrożnie ułożył dziewczynę na podłodze, po czym przykłęknął przy niej.

– Podwyższona ciepłota, blada, płytki oddech, spocona. Shanna, poproś, żeby ci ludzie się odsunęli.

Bez chwili namysłu zaczęła odpychać gapiów, aż zjawił się właściciel knajpki, Raul Varga.

– Co jej jest? – zapytał. – To moja córka, Graciela.

– Pana córka? – zdziwiła się Shanna. – Ostatnio źle się czuła? Robiła coś, czego normalnie nie robi? Wyglądała niewyraźnie?

– Nic takiego sobie nie przypominam oprócz tego, że narzekała na zmęczenie. Żona lepiej zna się na tych sprawach, ale wyjechała do chorej matki. Myślę, że Graciela to robi, żeby zwrócić na siebie uwagę, bo musi żonę zastępować i jej się to nie podoba.

Wątpię, pomyślała Shanna.

– Oprócz zmęczenia zauważył pan coś jeszcze? Niech pan sobie przypomni. Wydarzyło się coś, co normalnie uszłoby pana uwadze?

Mężczyzna, wyraźnie speszony, zmarszczył czoło.

– Poszła jej krew z nosa. To źle? Naprawdę jest chora?

– Kiedy to było? – dopytywała się Shanna.

– Kilka dni temu. A potem wymiotowała. Trochę. Myślę, że zrobiła to specjalnie. – Mimo to wydawał się szczerze zmartwiony.

– Coś jeszcze?

– Muszę się zastanowić. – Przymknął oczy.

– Bolała ją głowa?

– Tak. Trochę. Pracowała ciężko i narzekała, bo chciała robić co innego. Myślałem, że udaje, żeby pojechać z koleżankami do Buenos Aires do muzeum, ale jej nie pozwoliłem, bo potrzebna mi była jej pomoc. Więc pomyślałem, że marudzi.

Shanna już się zorientowała, że to sprawa poważniejsza niż kaprys nastolatki.

– Sądzę, że doktor Robinson zechce ją przewieźć do szpitala, więc jeśli ma pan samochód...

– Dostawczy.

– Niech pan podjedzie pod restaurację.

Pokrótkce poinformowała go o swoich podejrzeniach.

– Moja Graciela jest aż tak bardzo chora?

– Obawiam się, że tak. – Aby dodać mu otuchy, dotknęła jego ramienia.

Biedak myślał, że ma do czynienia ze zbuntowaną, a nie chorą nastolatką. –  
Więcej dowiemy się w szpitalu.

– Słabe tętno – stwierdził Ben. – Utrudnione oddychanie. ale się nie pogarsza. Temperatura znacznie podwyższona.

– Żółta febra – orzekła Shanna.

– Skąd wiesz? – Ben ściągnął brwi.

– Krwotok z nosa, mdłości, ból głowy, a do tego słabe tętno i gorączka.

Nie mam racji? Dlaczego tak na mnie patrzysz?

– Z podziwem, bo myślę, że trafiłaś w sedno.

– Ale ty już to wiedziałeś?

– Zauważyłem wcześniej, że bołą ją plecy, i też o tym pomyślałem.

– Może późno postawiłam diagnozę, ale za to załatwiłam auto, żeby  
zabrać ją do szpitala. Chyba że i tym razem mnie ubiegłeś.

– Dobra robota, zwłaszcza w wykonaniu kogoś, kto nie był lekarzem w  
dżungli. Hm, nie pracowałaś w dżungli, prawda?

Ta pochwała sprawiła jej przyjemność. Wcześniej też prawiono jej  
komplementy, nieraz za dobrze wykonaną pracę, ale też dlatego, że należała  
do klanu Brooksów. Tym razem był to komplement w pełni zasłużony.

– Nie, nie pracowałam. Pomyśl, czego mogłabym dokonać, gdybym  
miała takie doświadczenie.

Czterdzieści minut później dziewczyna znalazła się w niewielkiej  
szpitalnej salce jak najdalej od pozostałych pomieszczeń. Ben podłączył ją do  
kroplówki.

– Co dalej? – zapytała Shanna.

– Zobaczymy. Nie ma na to leku, więc będziemy działać objawowo, zbijając temperaturę, uzupełniać płyny i pilnować, żeby nie wdało się zapalenie dróg moczowych albo zapalenie płuc.

– A wioska? Jak mamy jeden przypadek, to czy nie ma więcej?

– Jestem tu od dwóch lat i przez ten czas zaszczepiłem wszystkich chętnych, więc nie spodziewam się epidemii. Może odosobnione przypadki, ale z nimi sobie poradzimy. – Przeniósł na nią wzrok. – Zaszczepiłaś się?

– Nawet mam niewielki znak. Pokazać?

Nie odpowiadając na tę zaczepkę, wręczył jej kartę pacjentki.

– Jest twoja. W razie czego pytaj.

– A ty do północy będziesz ludzi szczepił, tak?

– Jestem aż tak przewidywalny?

– Oczywiście.

Ruszyła do magazynu, by na wszelki wypadek przejrzeć zapasy antybiotyków. Ben wcale nie był przewidywalny, wręcz przeciwnie, bardzo trudno było go przejrzeć. Wyczuła jego zamiary, bo odkrył przed nią tylko ten jeden kawałek siebie. Dla niego najważniejsze były potrzeby mieszkańców wioski.

– Co ja tu robię? – mruknęła, przechodząc od liczenia ampułek penicyliny do opakowań doksycykliny. – Masz się stać taka jak on. – Kłopot w tym, że teraz widziała go w innym świetle niż w dniu, kiedy zjawiała się w Caridad.

Im bardziej mu się przyglądała, tym większe nachodziły ją wątpliwości, czy wybrała właściwy wzór do naśladowania, bo osoba, która się wyłaniała, nie była tą, jaką chciała się stać, lecz tą, którą chciałaby... mieć. Piekielnie skomplikowana sprawa.

– Dlatego musisz jechać na południe i jakiś czas spędzić z Jackiem – tłumaczył Amandzie.

– Ale ja się szczepiłam.

– A ja wieczorem odkryłem trzy nowe przypadki żółtej febry. – Wskazał jej zaokrąglony brzuch. – Mam ci przypominać?

– Że jestem w ciąży? Nie, nie musisz. Uważam.

– To za mało. Jack jest tego samego zdania. Poza tym stęsknił się za tobą. Wasz syn też.

– Beze mnie sobie nie poradzicie – argumentowała.

Spojrzał na Shannę w nadziei, że go poprze, zwłaszcza że w sporach z siostrą zawsze przegrywał.

– Wyjedź. Chociaż raz mnie posłuchaj.

– Ja cię zastąpię – zaofiarowała się Shanna.

Siedzieli w ciasnym pokoiku, Ben sztywno na krześle, Amanda na kanapce, Shanna po turecku na stoliku, bo więcej miejsc siedzących nie było. Czuła, że ze zmęczenia ledwie żyje, licząc, że tylko dzięki adrenalinie będzie w stanie przeżyć kilkanaście kolejnych godzin.

– Od tej chwili, więc... – klasnęła w dłonie – jedź! Zmykaj. Poradzimy sobie.

– Nie o to chodzi. Mój brat przesadza.

– A moi bracia są pracoholikami – odparowała Shanna. – Oni się nie zmieniają. Ben też.

– Bierzesz jego stronę?

– Nie biorę niczyjej strony. Twój wspaniały mąż i syn będą szczęśliwi, jak cię zobaczą. Uwierz kobiecie, której były mąż nie był wspaniały. Jedź do nich. Ciesz się, że ich masz. Żeby Ben się o ciebie nie martwił.

– Masz byłego męża? – zdumiał się Ben. – Temat zakazany?



– Nie, ale nie zasługuje na to, żeby sobie język strzepić. Przytrafił mi się, kiedy chciałam, aby rodzina mnie chwaliła. Tata mi go podsunął i dwa miesiące później byliśmy po ślubie. Kompletna klapa. Za to on wzenił się w rodzinę. Nawet wziął sobie moje nazwisko. Jedyna udana rzecz to rozwód.

– Przyjął twoje nazwisko? – zapytał Ben.

– W wersji z myślnikiem. Doktor William Henry Morrison myślnik Brooks. zaproponowałam, żeby jeszcze sobie dopisał GR, Gruba Ryba, ale go to nie rozbawiło.

Jednak okazało się zabawne, bo Ben wybuchnął śmiechem, wyobrażając sobie doktora Williama Henry'ego Morrisona myślnik Brooks, Grubą Rybę.

– Ty się z nim rozwiodłaś, nie on z tobą?

– Zrobiłabym to po raz drugi. Ale w prezencie pożegnalnym pozwoliłam mu zatrzymać nazwisko, a moja rodzina nie wyrzuciła go z pracy. Rozstaliśmy się w zgodzie. On ma to, o czym marzył, a ja odzyskałam wolność, zanim zrobiliśmy coś takiego. – Wskazała na brzuch Amandy. – A propos, pomóc ci się spakować?

– Nie jesteś zbyt delikatna – zachnęła się Amanda, wstając. – Dziękuję za chęć pomocy, ale niedużo mam do spakowania. To tylko kilka dni. Aha, Ben, przy okazji sprawdzę, czy mamy coś dla sierocińca.

– Na ganku stoją kartony dla Richarda. – Spojrzał na Shannę. – Pomagamy sierocińcowi Richarda Hathawaya.

– Mimo że sami macie tak mało?

– Dlatego nazwałem szpital Caridad, czyli miłosierdzie. Nie każdemu się poszczęściło, a każdy zasługuje na pomoc.

– A ty, Ben, zasługujesz na sen. – Zsunęła się ze stolika. – Na posterunku zostanie trzech lekarzy, więc nie protestuj. Jesteś zmęczony, idź

się przespać. Niewykluczone, że podam ci *mate*, jak wstaniesz, mimo że nie przegrałam zakładu.

– Kusząca propozycja. – Podobnie jak sama Shanna. – Okej, nie będę stawiał oporu. – Przytulił siostrę.

– Niech w razie czego Jack czymś cię zajmie.

– Ja cię też kocham! – roześmiała się Amanda, dodając: – Shanna, też go czymś zajmij.

– Wszystko słyszałem! – zawołał Ben z korytarza.

– Wiem! – odkrzyknęła Amanda.

– Między moimi braćmi i mną nigdy tak nie było – zauważyła Shanna.

– Nie byliście blisko?

– W mojej rodzinie obowiązywał... chłód emocjonalny. Kochamy się, nie zrozumiem mnie źle, ale tego nie okazujemy.

– Nawet jak byliście dziećmi?

– Zwłaszcza w dzieciństwie, bo byliśmy poddawani procesowi formowania.

– Po co?

– Żebyśmy godnie reprezentowali rodzinę Brook – sów – wyjaśniła Shanna ironicznym tonem. – Masz szczęście, że jesteście sobie tak bliscy.

Zimny prysznic i drzemka. Ma trzydzieści sześć lat, więc wcale nie jest stary, ale męczy się szybciej niż dawniej. Oczywiście trzyma się, zwłaszcza od czasu do czasu ucinając sobie drzemkę.

Zrzuciwszy ubranie, ruszył do łazienki, starannie unikając lustra w sypialni. Po co się katować?

Zimny prysznic powinien podziałać kojąco na jego zmysły, bo, kurczę, ciągle myśli o Shannie. Wręcz do bólu w pewnym miejscu. Zły zakręcił kurek, chwycił ręcznik i tak energicznie zatrzęsął drzwiami kabiny, że wypadły

z zawiasów. No to co? To jego zawiasy, więc może z nimi zrobić, co chce!

Ale że zrobił to, rozmyślając o Shannie, jest niedopuszczalne. Cokolwiek do niej czuje, jest niedopuszczalne. Ogolił się, uczesał, włożył bokserki i T – shirt, po czym rzucił się na łóżko, już się martwiąc, że nie uda mu się wykorzystać najbliższych paru godzin.

Często nie mógł zasnąć, nawet gdy znajdował na to czas, bo jego umysł zaprzętały niezliczone problemy: szpital, matka nękana chorobami wieku starczego, siostra, perspektywa spędzenia reszty życia w samotności. Cała litania powodów do stresu.

– Cholera... – mruknął, po czym zaczął liczyć obroty wiatraka pod sufitem.

Przy dwóch tysiącach udało mu się zasnąć.

*Yerba mate.* Smakuje trawą, jest piekielnie gorzka i zawiera mnóstwo kofeiny, ale Benowi smakuje. Trzyma go przy życiu. Za to pięknie pachnie, ale czasami zmysły mogą się mylić. A w kwestii Bena? Może się nie mylą, ale są zdezorientowane.

To, co wydawało się zdrową maską, wcale nie było chłodem. Do tej pory nie widziała człowieka, który by tak ciężko pracował. Minionej nocy, a właściwie o świcie, zaszła na oddział dziecięcy, gdzie zastała go w fotelu na biegunach, jak usiłował ukołysać do snu jakiegoś malucha, mimo że sam padał ze zmęczenia. To nie jest dystans, mimo że otoczeniu dawał jasny sygnał: „Trzymajcie się z daleka”.

– Jaki jesteś? – szepnęła, wychodząc z tacą z kuchni.

– Ben! – zawołała, gdy nie odpowiedział na pukanie. – *Yerba mate!*

Otwórz!

Cisza.

– Ben, pora wstawać. Jesteś tam? – zapytała.

Pchnęła drzwi łokciem. Leżał na łóżku, szczupły, a zarazem muskularny, a ona nie mogła oderwać od niego oczu. Kaszlnęła, by odsunąć niestosowne myśli i przenieść wzrok gdzie indziej.

– Przyniosłam...

Usiadł gwałtownie, po czym ryknął:

– Co ty tu robisz?! Wynocha!

Przestraszona cofnęła się, upuszczając tacę. Czajniczek i kubek rozprysły się na kawałki, a *yerba mate* rozlała po całym korytarzu. Odskakując w bok, nie widziała, jak Ben zrywa się z łóżka i pędzi do łazienki. Usłyszała tylko trzaśnięcie drzwi. Przyszło jej wtedy do głowy, że obudziła go w chwili, gdy coś mu się śniło.

– Przepraszam! – Rozglądała się za ścierką do podłogi. – Myślałam, że *mate* dobrze ci zrobi przed dyżurem...

– Sam posprzątam – warknął. – Zostaw mnie i zamknij drzwi. Jak będę chciał *mate*, to sam sobie zrobię.

Starła się, ale nawet jeśli nic z tego nie wyszło, to nie usłyszy nic więcej niż: „Zamknij drzwi”? Była dotknięta do żywego. Zgoda, być może przekroczyła pewną granicę, ale nie spodziewała się aż takiej reakcji. I na nią nie zasłużyła.

– W porządku – syknęła. – Zamknę drzwi.

Już w swoim pokoju zaczęła się zastanawiać, dlaczego jest jej aż tak przykro i dlaczego tak się tym przejmuje.

Chciała zwrócić na siebie jego uwagę, tak jak robi to od dziecka? A może jej uczucia kierują się w stronę, której nie przewidziała? Jedno i drugie jest skazane na niepowodzenie, bo zależy od czegoś, co jest w nim nie do ruszenia, a ona stara się go zreformować, podczas gdy sama powinna się zmienić.

Po raz pierwszy zwątpiła, czy Ben potrafi ją nauczyć tego, na czym jej tak zależy. A to oznaczało, że nie ma powodu zostawać w szpitalu Caridad.

Ale ja chcę tu zostać! Ta myśl sprawiła, że rzuciła się pod prysznic w nadziei, że zimna woda pomoże jej odzyskać rozsądek. Bo naprawdę nie chciała opuszczać Argentyny. Pokochała człowieka, który nigdy nie odwzajemni jej uczucia.

TTLR

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

Miał nieodpartą ochotę grzmotnąć książką o ścianę, ale się pohamował, bo gdyby ktoś to usłyszał, zaczęłyby zadawać pytania, a nie miał ochoty mówić, że od dwóch godzin się wścieka z powodu rzeczy, nad którymi nie panuje. Co z tego, że go zobaczyła w łóżku? Czy to coś zmienia? Nic ich nie łączy. I nie połączy. Poza tym Shanna jest lekarzem, więc widziała nawet gorsze blizny.

Nie powinien na nią krzyczeć. Prędzej czy później i tak by je zobaczyła: na ramieniu, klatce piersiowej, na brzuchu aż do biodra i do połowy nogi. Taki już Jest, a ona jest bystra i o nie zapytała, już zaczyna łączyć kropki. Alkohol, ponura przeszłość, blizny... Jeszcze więcej upiornych kropek do połączenia.

Pogodził się już z tym, co może, a czego nie może mieć. Ale Shanna... dlaczego budzi w nim tęsknotę, którą dawno wyparł i wmówił sobie, że to nieważne?

Jeszcze raz spojrzął na książkę i powoli zaczął rozluźniać palce, ale nagle, całkiem bezwiednie, cisnął nią o ścianę, zrzucając na ziemię dyplom lekarski i fotografie rodziców. Uderzenie było tak silne, że na ścianie powstało spore wgniecenie, i na tyle głośne, że niemal od razu ktoś zapukał do drzwi.

– Nic mi nie jest! – zawołał. – Gość mi upadło.

– Pomoże ci *yerba mate*?

Poczuł się upokorzony w dwójnasób, ale głos Shanny, nawet zza zamkniętych drzwi, sprawił, że trochę się uspokoił.

– Potłukłaś czajnik.

– Kupiłam nowy. Na wszelki wypadek dwa.

Idź sobie, pomyślał. Shanna, odejdz. Mimo to ruszył otworzyć drzwi.

– Nic nie mów, okej? Jak każdy, bywam wściekły. – Wskazał na książkę. – Przepraszam, że wcześniej, kiedy tu weszłaś...

– Musiałeś trochę się wyładować.

– Bardziej niż trochę. Czasami trudno się powstrzymać.

– Znam to uczucie. Kiedyś wyrzuciłam krzesło przez zamknięte okno.

– Podniosła z podłogi jego dyplom i fotografie. – Z premedytacją.

Mimo woli się roześmiał.

– Wyobrażam sobie.

– Naprawdę? Dla moich bliskich było to niewyobrażalne. Byli oburzeni, że śmiem się stawiać.

– Komu?

– Rodzicom. Miałam czternaście lat i chłopaka. Rozumiesz, miłość na śmierć i życie, chciałam gdzieś z nim pójść, już nie pamiętam gdzie. – Roześmiała się. – Jego imienia też nie pamiętam. Ale ojciec mi nie pozwolił, bo klan Brooksów miał być gospodarzem jakiejś ważnej imprezy. Stale organizowaliśmy imprezy; więc zgodnie z temperamentem nastolatki wpadłam w szal.

Podawała mu dyplom i zdjęcia.

– Mało kto dostrzegał te moje napady, bo to były ciche bunty. Nie rzucałam książkami ani nie wybijałam szyb. Co najwyżej było to ciche „proszę, pozwól...”, ale nikt nie słuchał. Więc ten jeden raz postanowiłam zwrócić na siebie uwagę. Potem zdarzyło mi się to jeszcze parę razy. O nich kiedy indziej, bo to był początek Shanny, zbuntowanej nastolatki.

– Która na początek wyrzuciła krzesło przez okno?

– To był antyk wart z piętnaście tysięcy dolarów. Roztrzaskał się na

drobne kawałki, tak że nie dało się go naprawić.

Ben szeroko się uśmiechał.

– Ale poczułaś się lepiej, prawda?

– A ty poczułeś się lepiej?

– Trochę.

– Dużo lepiej. Chyba dlatego, że po raz pierwszy ojciec zareagował.

Wpadł we wściekłość, wrzeszczał na mnie, pilnował, żebym zebrała każdy najmniejszy kawałek szkła. Odebrał mi wszystkie przywileje. Na cały miesiąc!

– Podobało ci się to?

– Przyjemność sprawiała mi świadomość, że potrafię zmusić ojca do reakcji.

– I to wykorzystywałeś?

– Więcej o tym innym razem.

– Jak na tym wyszłaś?

– Jeszcze nie wiem. Czas pokaże, bo dalej jestem zbuntowana i uparta.

Czekaj, przyniosę szczotkę i szufelkę, a ty pozamiatasz.

– A jak to zrobię, zawieszysz mi przywileje na cały miesiąc?

– Pod warunkiem, że sobie tego życzysz.

Ona jest jak magnes, któremu nie można się oprzeć

– Chyba zależy to od tego, co zostanie zawieszzone? Na przykład zdrowy rozsądek? – Zawahał się. – Przepraszam za to, jak się wcześniej zachowałem. Zaskoczyłaś mnie.

– Każdy ma gorsze chwile, nie przejmuj się.

– Padłaś ofiarą moich złych chwil niesłusznie. One są...

– Wybuchowe?

– Łagodnie powiedziane. – W dalszym ciągu nie mógł się pogodzić, że



widząc go praktycznie nagiego zobaczyła jego najgorszą stronę.

– Ben, daleko ci do mnie. – Uśmiechnęła się. – Każdy ma złe chwile, a ja mam na koncie kilka wybitnych numerów.

– Takie okropne?

– Mało powiedziane. – Śmiejąc się, wyszła z pokoju. Chciał pójść za nią, ale odezwał się staroświecki pager wzywając go na oddział pediatryczny.

– Przyjęliśmy jeszcze jeden przypadek żółtej febry – poinformowała go, gdy później spotkali się na korytarzu. – A ta mała z bakteryjnym zapaleniem wsierdza jest stabilna.

Pokiwał głową, nie kryjąc zmęczenia.

– Napijesz się czegoś? – zapytał. – Nie *yerba mate* bo wiem, że nie lubisz, ale jest też sok owocowy. Chyba że masz co innego do roboty.

– Sok! Daj mi kilka minut... – Już miała powiedzieć, że przebierze się w coś bardziej wygodnego ale miałoby to podtekst seksualny, nie na miejscu. – Zmienię buty.

– Zostawię otwarte drzwi i obiecuję, że tym razem zachowam się jak należy.

Pospiesznie przebrała się w czyste szorty, T – Shift i sandały, ale wróciwszy do Bena, zauważyła, że dalej jest w służbowym ubraniu: bojówkach i koszuli z rękawem poniżej łokcia. On w takim stroju wyglądał seksy, ona bez wyrazu.

– Widzę, że już posprzątałeś.

– Mam się przed tobą pokajać, wyznać, jak bardzo się wstydzę?

Śmiejąc się, podeszła do stolika w kuchni.

– Jak chcesz. Na pociechę powiem ci, że prezentowałeś się bez zarzutu.

Od czasu do czasu lubię popatrzeć na faceta w bokserkach.

– Rozumiem, że próżno tego szukać na twojej liście tematów

zakazanych.

Pokręciła głową.

– Potrafię docenić, kiedy coś na to zasługuje. Nie będę się wypierać.

– A twój były?

– On na to nie zasługiwał. Pod wieczór, zaraz po ślubie, przyłapałam go na ćwiczeniu swojego nowego podpisu w notesie. Tak wyglądała kulminacja naszego pożycia.

– Oj... – sapnął. – Wszystkie nadzieje i marzenia panny młodej przekreślone jednym zamaszystym podpisem.

– Nie nadzieje, nie marzenia i na pewno nie przekreślone, ale już wtedy zaczęłam planować rozwód.

Popełniłam wielki błąd, ale zdałam sobie z tego sprawę dopiero, jak powiedziałam „tak”.

– I szybko się z tego wypisałaś.

– Nie, bo on to odwlekał. Bał się, że zostanie zmuszony rozstać się z rodziną Brooksów, więc trochę trwało. W moim odczuciu najwyżej trzy miesiące, chociaż z dokumentów wynika, że dwa lata.

– To dlaczego zgodziłaś się na ślub? Tak rozpaczliwie zależało ci na uznaniu rodziców?

– Nikt nie jest bez wad. Chciałam ich zadowolić, mimo że to niemożliwe. Z nimi... trudno się dogadać. Uważali, że muszę wyjść za mąż, więc wyszłam.

Potrząsnął głową.

– Mój ojciec był bardzo wymagający, miał mnóstwo tajemnic, kłamał, ale chyba nigdy nie musiałem walczyć o to, żeby mnie dostrzegął. Współczuję ci.

– Co cię nie zabije, to cię wzmocni. – Upiła łyk gęstego zimnego soku.

Wolałaby zmienić temat, bo bała się, że opowiadając o porażce, jaką była jej walka o uwagę rodziców, jawi się mu jako osoba słaba, a tego nie chciała. – Porozmawiajmy lepiej o tym trupie w szafie. Ben, wiem, że to jeden z twoich tematów zakazanych, ale uważam, że trzeba go przepracować, Zamknąć ten temat i przejść do następnego.

Wbił w nią spojrzenie. Dopiero po chwili sięgnął po szklankę z sokiem.

– To poparzenia. – Odstawił szklankę. – Miałem piętnaście lat, zrobiłem coś nieostrożnie, jak naprawialiśmy z ojcem samochód. Rezultat jest, jak widzisz. Wielkie blizny.

– Jak rozległe oparzenia? – zapytała tonem chyba zbyt swobodnym.

– Kark, bark... Nie warto o tym mówić.

Bo z nikim o tym nie rozmawiał? Przecież widziała, jak uciekał do łazienki, jak się ubiera, by je ukryć. Intuicja jej podpowiadała, że prawdziwe blizny to nie te na skórze.

– Możliwe, ale ja jestem uparta.

– W jakiej kwestii? – zapytał zadowolony, że zrezygnowała z tego tematu.

– W kwestii facetów w bokserkach. Lubię od czasu do czasu na nich popatrzeć, a uważam, że tym razem było na co, z bliznami włącznie. Na tym zakończymy. – Wstała. – Dziękuję za sok i towarzystwo, ale teraz trochę się prześpię, żeby potem posiedzieć przy tej małej z zapaleniem wsierdzia.

W pół drogi do drzwi się zatrzymała.

– Moją rodziną kieruje potrzeba wykluczania. Tak mnie wychowywano. Źle, jak życie wokół ciebie kwitnie, źle, jak szukasz własnej drogi. Ben, cokolwiek przeszedłeś, cokolwiek jeszcze zrobiłeś, nie musisz być wykluczony, nie musisz skazywać się na wykluczenie. Jesteś potrzebny tym ludziom, a to o wiele ważniejsze niż... blizny.

Nie odpowiedział, ale tego nie oczekiwała. Nawet nie życzył jej dobrej nocy. Ale taki już jest. Im więcej o nim się dowiadywała, tym bardziej ją intrygował.

– Ile to trwa? – zawołała, biegnąc korytarzem.

– Krócej niż pięć minut – odrzekła pielęgniarka. – Podskoczyła jej temperatura, więc próbowaliśmy ją zbić gąbką z zimną wodą, a jak nie pomogło, wezwaliśmy ciebie, ale przez ten czas wystąpiły...

Drgawki gorączkowe, a następnie stanęło serce.

– Temperatura?

– Czterdzieści i pięć kresek.

– Epinefryna! – Minęła się z pielęgniarką, która pospieszyła do magazynu leków. Z przeciwnej strony nadbiegł Ben.

Gdy druga pielęgniarka wraz z wolontariuszką reanimowały małą pacjentkę, Ben błyskawicznie ją intubował.

– Ja będę ją wentylować – oznajmiła pielęgniarka, podczas gdy Ben przygotowywał defibrylator na wypadek, gdyby serce dziecka nie podjęło pracy.

– Zamówiłam epinefrynę – rzekła Shanna – ale wolałabym nie przerywać reanimacji, jeżeli nie będzie to konieczne.

– Dlaczego?

– Z powodu efektów ubocznych. W Brooks Medical Center nie przerywamy reanimacji, nawet żeby podać leki. – Zawahała się. – Ale ty to wiesz. Twoją odpowiedź opublikowano w jednym z pism medycznych.

– Czytałaś ją?

– Nie tylko ten artykuł. – Ustąpiła mu miejsca, gdy podszedł z defibrylatorem. Pierwszy zabieg.

Wszyscy wstrzymali oddech, nie odrywając wzroku od ekranu

przenośnego monitora, ale w chwili gdy Shanna miała ponownie przystąpić do reanimacji, rozległ się pierwszy sygnał. Potem drugi, trzeci...

Shanna pochyliła się, by osłuchać pacjentkę, która kaszlnęła, po czym zaczęła oddychać.

– Witaj z powrotem – szepnął Ben, po czym zwrócił się do Shanny. – Niezależnie od tego, jak zareagują jej rodzice, trzeba ją przewieźć do szpitala w Buenos Aires.

– Oni o niczym nie wiedzą – odezwała się pielęgniarka. – Nie było czasu ich zawiadomić.

– Nie szkodzi, sam z nimi porozmawiam. Shanna, przejdiesz się ze mną?

– Przychodzi ci to z łatwością, prawda? – zapytała jakiś czas później, gdy zbliżali się do domu chorej. – Kierowanie ludźmi.

– Nigdy nie myślałem o sobie w tych kategoriach.

– Ale włączasz się, kiedy to konieczne, i prowadzisz, a personel chętnie współpracuje. Mój ojciec i dziadek też świetnie kierują zespołem, ale oni to na personelu wymuszają, a ty po prostu wchodzisz i ludzie już są gotowi do pracy.

Wzięła go pod ramię. Można by pomyśleć, że to para zakochanych. Rozmarzyła się, a on jest tylko uprzejmy. Taka chwilowa przyjemność. Jakie to proste. Szkoda, że wcześniej nie wiedziała, jak piękna bywa prostota.

Ale gdyby wiedziała, nie poznałaby Bena, a im lepiej go poznawała, coraz częściej miała sposobność zaobserwować, jak bardzo się angażuje. Przyleciała do Argentyny, by nauczyć się dystansu do pacjentów, a on nie dystansuje się od nich, lecz od siebie, więc powinna wyjechać, skoro się pomyliła. Na razie jednak nie będzie sobie zaprzętała tym głowy.

– Shanna, mamy za sobą pracowity dzień i...

– I przeżyliśmy, żeby jutro stawić czoło nowym wyzwaniom. – Puściła jego ramię. Po co trzymać się kogoś, kto tego nie chce?

– Kolejny pracowity dzień. Cieszę się, że tu jesteś bez względu na to, co cię tu sprowadziło i co cię tu trzyma.

– Ja też się z tego cieszę. Jest tu inaczej, niż myślałam, ale to mi odpowiada.

– Czego się spodziewałaś?

– Miniaturowej wersji Brooks Medical Center – odparła ze śmiechem.

– I na dokładkę kilku egzotycznych stworzeń.

– Ze stworzeniami nie byłoby kłopotu, ale Brooks Center to to nie jest. Powiedziałbym, że ośrodek Caridad to przeciwieństwo Brooks Center. – Zapukał do drzwi, po czym stanął obok niej. – Cieszę się, że tu jesteś, bo to nam pomaga, i mam nadzieję, że pomimo moich humorów zostaniesz z nami dłużej, bo... – spojrzał na nią – bo razem jesteśmy dobrzy. Jako lekarz z lekarzem.

– Lekarz z lekarzem – powtórzyła, podchodząc bliżej.

– Udany medyczny tandem – szepnął.

– Bardzo udany... Wyjątkowo.

Gdy ojciec dziewczynki otworzył drzwi, spleceni ramionami delektowali się pierwszym pocałunkiem. Miło, pomyślała, gdy żółte światło zalało ganek. Lepiej niż kiedykolwiek do tej pory. Niestety z facetem, który zaraz tego pożałuje.

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

Pocałunek był wczoraj, a dziś jest normalny dzień. Ale denerwujący, bo ilekroć się z Benem mija, ten ogranicza się do skinienia głową. Miała rację. Ben żałuje tego pocałunku. Jak mają teraz pracować?

Nie czas na rozmyślenia, bo pacjenci czekają, ale jak nie wypije herbaty teraz, to upłynie wiele godzin, zanim nadarzy się druga szansa, więc zaszła do pokoju lekarskiego, by nastawić czajnik. Przeglądając zapas herbat, usłyszała za sobą znajome kroki.

– Chyba ten pocałunek nie był z mojej strony najstosowniejszym posunięciem, ale nie zamierzam przeproszać – powiedział Ben, zatrzymując się w progu. Zachowując dystans.

Jest niezadowolony, pomyślała.

– Uważasz, że to ja powinnam przeproszać? Bo sądząc po tym, jak mnie unikasz...

– Wcale cię nie unikam. Kombinuję, jak się zachować.

– Ben, to był tylko pocałunek. – Proste podsumowanie, skomplikowana reakcja, bo ten pocałunek nią Wstrząsnął. – Wszyscy to robią.

– Ja nie.

Jasne, bo woli stać do wszystkich plecami. Ale zanim ją pocałował, nie stał do niej plecami. Obejmował ją... zaborczo. Popatrzyła na niego.

– Przypomniało mi się, jak pewnego wieczoru Jimmy Barstow odprowadził mnie do domu. Staliśmy na ganku i zastanawialiśmy jak pewnie każdy małolat: pocałuje mnie czy nie? Mogę czy nie mogę? Przechylić głowę, rozchylić wargi?

– I co zrobiłaś?

– Przechyliłam głowę, ale nie rozchyliłam warg. To był mój pierwszy raz. I nie to, czego się spodziewałam, ale pierwszy. Romantyczna sprawa.

– Niech zgadnę. Bo na ganku rozbłysło światło.

– Ale nie jedna żarówka, Ben, całe morze światła. A w drzwiach stanął ojciec, który wydał mi się dziesięć razy większy. W jednej wersji trzymał spluwę, w drugiej dwa bulgoczące rottweilery. Tak czy owak, ojciec jawił mi się jako zagrożenie i ta część opowieści się nie zmienia.

– Co było dalej?

– Nic. Spodziewałam się trzęsienia ziemi, ale nic takiego się nie stało. Ojciec wpuścił mnie do środka, i podziękował Jimmy'emu, że mnie odprowadził.

– Byłaś zawiedziona?

– Trochę. Normalnie, wszyscy walczyli ze mną, a wtedy chyba chciałam, żeby chociaż raz ktoś zawalczył o mnie. Ale... – znalazła swoją ulubioną herbatę – wczoraj było miło. Nie wiem, co to miało znaczyć, ale mam nadzieję, że nas nie poróżni. Lubię tę pracę, lubię ciebie...

– Wsadziłaś mi język do samego gardła – poinformował ją beznamiętnym tonem.

– Powinieneś się cieszyć – odparła z uśmiechem – bo z Jimmym tak daleko nie zaszło. Udało ci się więcej niż jemu. – Zalała wrzątkiem torebkę z herbatą. To prawda z tym językiem. I chętnie by to powtórzyła.

– Shanna, to nie w moim stylu.

– Ale to zrobiłeś.

– Sytuacja wymknęła mi się spod kontroli, ale to się nie powtórzy, bo nie chcę się w nic angażować.

– Na pewno? Wczoraj sprawiałeś wrażenie faceta, który jest o krok od zaangażowania.



– Zawsze balansuję na krawędzi, ale też zawsze wiem, kiedy się cofnąć.

– Ben, dużo tracisz, bo na pewnym poziomie życie polega na zaangażowaniu. Gdyby nie ono, nie byłoby mnie. W dużej mierze ukształtowało mnie nawet nieudane małżeństwo. Każdy, kogo poznałam, każdy pacjent... Niedobrze jest odcinać się od wszystkiego, co może nas poruszyć. Nie tylko w kwestiach damsko- męskich. Na tym polega życie.

– Być może w twoim przypadku i wszystkich innych, ale we mnie nie ma nic ponad to, czego potrzebuje szpital. Żyję dla niego. Dla niczego więcej.

– I tym się zadowolisz do samej śmierci?

– Pogodziłem się z tą myślą. Dokonałem wyboru.

– Szkoda, bo wszyscy na tym tracą, całe twoje otoczenie. Ty... ja.

Wszyscy na tym tracimy.

Milczał, gdy wychodziła z pokoju.

Szła korytarzem, czując na sobie jego spojrzenie. Jeden pocałunek, który zrobił na niej ogromne wrażenie. Nikt, nawet Jimmy Barstow, tak nie zaburzył jej spokoju. Co z tym zrobić? Nic. Kochanką Bena jest praca. A ona? Lubi go i lubi się z nim całować. Tak bardzo, że nie może przestać o tym myśleć.

Czy rzeczywiście kryje się za tym coś więcej? A może to tylko przystanek podczas burzliwej podróży? Wystarczy jeden krok i wybuchnie chaos, więc nie wolno zapominać, że Ben jest przystanią na krótko, i tym powinien pozostać. Jak będzie trzymać go na odległość, będzie dobrze, a zważywszy, jak bardzo on chce trzymać się obrzeży, nie powinno to nastęrczać większych trudności.

– Nie, nic mi się nie stało. – Pomachała Benowi, który zajrzał do pokoju. Rozmowa z dziadkiem była jak przemawianie do ściany. Docierało do niego tylko to, co chciał usłyszeć. – Jestem w Argentynie. Zwiedzam,

dziadku. Piękny kraj. Fantastyczne jedzenie i serdeczni ludzie. – Jakby interesowało go cokolwiek poza jego własnym światem. – I opieka zdrowotna na wysokim poziomie.

Może niepotrzebnie wspomniała o opiece zdrowotnej, ale przecież po to tu przyjechała. Z tego powodu porzuciła medycynę. I szuka drogi, by się w niej odnaleźć.

– Shanna, to nierozsądne. – Miles Brooks perorował tak głośno, że Ben w drugim końcu pokoju ściągnął brwi. – To strata czasu, a moja cierpliwość jest na wyczerpaniu. Zarządzamy renomowanym szpitalem i nie możemy sobie pozwolić na blokowanie bez końca tego stanowiska, bo wyjechałaś, żeby się odnaleźć albo Bóg jeden wie co jeszcze.

Było jej przykro, że Ben to słyszy, ale też nie spodziewała się, że stanie w drzwiach i będzie słuchał.

– Dziadku, nie próbuję się odnaleźć. Po prostu zwiedzam miejsca, w których jeszcze nie byłam.

– A my pracujemy, żeby sfinansować twoje kaprysy. To szczyt braku odpowiedzialności. I nie w porządku wobec bliskich. Masz wobec nich i szpitala zobowiązania, a nadużywasz naszej przychylności. Dostałaś urlop, ale już dosyć tego.

Zamknęła oczy, by przez kolejne dwie minuty słuchać kazania, które znała na pamięć, szczegółowej wyliczanki powodów, dla których jest zakałą rodziny oraz zaniedbuje swoje obowiązki. Mogłaby puścić to mimo uszu, ale nie gdy słuchał tego Ben. Mógł w to uwierzyć.

Gdy w końcu odłożyła słuchawkę, czuła się, jakby przejechał po niej czołg.

– No to już wiesz. Znasz wszystkie moje brudy.

– On nie jest sympatyczny – stwierdził Ben. – Tego dnia, kiedy

przeprowadzał ze mną wywiad, wolałbym, żeby mnie wychłostano. Jak się czujesz?

– Sponiewierana. Ale już się do tego przyzwyczaiłam. Dziadek dobrze życzy...

– Centrum medycznemu czy tobie?

– To się przeplata. W mojej rodzinie dziecko jest do tego przystosowywane, jeszcze zanim zacznie chodzić. Ben, to nie do końca jest złe. Ja się nie skarzę. Nawet nie byłam nieszczęśliwa. My nie jesteśmy... typowi, a mnie typowość czasami wydaje się atrakcyjna.

– Shanna, jesteś dobrym lekarzem i dziadek chce, żebyś wróciła. Ja to rozumiem.

– W tym sęk. Chce, żebym wróciła, bo chce wygrać. Chce, żeby jego było na wierzchu.

– Albo chce znów zobaczyć wnuczkę.

Zastanowiła się nad tym. Miło by było wierzyć, że kryje się za tym jakieś cieplejsze uczucie. Niestety, dziadek chce, by wróciła na jego warunkach, bo inne rozwiązanie popsuje mu plany.

– On musi mieć nad wszystkim kontrolę. Problem w tym, że ja go nie nienawidzę. Dziadek jest fantastycznym człowiekiem, autorem wielu innowacyjnych rozwiązań w kardiologii, założycielem kilku szpitali. Podziwiam go i jestem z niego dumna, ale bardzo...

– Trudno być wnuczką takiej medycznej spuścizny?

– Coś w tym stylu. – Zwłaszcza dla kogoś, kto szuka dla siebie medycznego wzorca i zaczyna mieć poważne wątpliwości, czy coś takiego istnieje. – Cała moja rodzina tak bardzo żyje pracą, że na nic więcej nie ma tam miejsca. Dla ojca przyjemnością jest wykład na konferencji, dla matki opublikowanie kolejnego artykułu na temat związany z onkologią. Dziadka

poznałeś, babcia jest dziekanem wydziału pielęgniarstwa. Pradziadek założył Brooks Medical Center, a prababcia jedną z pierwszych szkół pielęgniarstwa. Oto moja rodzina, która odgrodziła mnie od świata. Ale bez złych intencji. Moi bracia i ja nie robiliśmy tego co nasi rówieśnicy, bo nasz świat jest doskonały... dla rodziny Brooksów.

– Ale nie dla Shanny.

Wzruszyła ramionami.

– To jest bardzo bezpieczny świat. Bezpieczniejszy od tego na zewnątrz. Oni są szczęśliwi.

– To znaczy, że Shanna...

– Chce się dowiedzieć, czy jest ulepiona z tej samej gliny. Muszę lepiej siebie poznać, zanim tam wrócę. – Nie tylko lepiej się poznać, ale też poznać swoją wartość. Musi się zmienić, bo inaczej zmieni ją Brooks Médical Center. – Na razie jednak pójdę zbadać Beatriz Rivas, bo jej dziecko ma ułożenie pośladkowe, a termin porodu już niedługo. Spróbuję je odwrócić.

– Obrót zewnętrzny na główkę?

– Słyszałam o różnych sposobach odwracania dziecka. Muzyka przy kości miednicznej, żeby przywabić do niej dziecko, albo lód na brzuch, żeby się odsunęło, ale spróbuję je odwrócić, żeby oszczędzić kobiecie cesarki.

– Już to robiłaś?

– Z powodzeniem. Nie zawsze się udaje, ale warto spróbować. A że masz ultrasonograf...

– Dzięki szwagrowi. Jak się dowiedział, że Amanda jest w ciąży, wyposażył nas w najnowszą aparaturę. Inaczej przyszłoby mi siedzieć w nogach łóżka z ukulele w nadziei, że dziecko się odwróci.

Parsknęła śmiechem.

– Nie wyglądasz na miłośnika ukulele.

– Bo nie jestem, chociaż matka uważała, że jestem muzykalny. Kupiła mi nawet elektryczną gitarę i wzmacniacze. Takie, że kazuary spadały z drzew. – Uśmiechnął się. – To spore ptaszyska. Jak indyki.

– Ben gwiazda rocka?

– Zdecydowanie nie. Nie dotknąłem gitary od dwudziestu lat. Wcale nie byłem dobry.

– To znaczy, że kazuary nie będą spadać. Ale ja żałuję, bo chętnie bym posłuchała.

– Nikt nie chciał mnie słuchać, ale się tym nie przejmowałem, bo byłem w swoim żywiole. Jak wtedy, kiedy tłukłem szyby, strącałem rzeczy ze ścian... sąsiadowi.

O, tego się po nim nie spodziewała, ale wyobraziła sobie młodego chłopaka w obcisłych dżinsach, T – shircie...

– Dlaczego się uśmiechasz?

– Na myśl, że będę odbierać poród Beatriz – skłamała. – Mam nadzieję, że tego doczekam. Masz ochotę mi pomóc przy odwracaniu?

– Za pięć minut, dobrze?

– W porządku. Ben, ten pocałunek... – Oczekiwała go, ale się do tego nie przyzna. – Nie przyjechałam tutaj, żeby romansować. Popelniliśmy błąd. Sprawa zamknięta. Człowiek całe życie się uczy.

– A ja przepraszam za to, jak się zachowałem.

Roześmiała się.

– Jedno jest pewne: ćwiczenie czyni mistrza.

Po jego spojrzeniu zorientowała się, że ćwiczenie łączy się z cierpieniem. Zrobiło jej się smutno. Bo właśnie to wytknął jej dziadek: że z powodu przesadnie emocjonalnego podejścia nie nadaje się do pracy w jego centrum. Ale do tej pory nic się nie zmieniło.

Czy chce tam wracać? Zawsze istniała możliwość że dziadek nie przyjmie jej z powrotem, ale do tej pory nie wyobrażała sobie, by to ona mogła zerwać z rodziną. Teraz przyszło jej to do głowy.

– Ale mistrzostwo wymaga ćwiczenia.

– Tak czy owak, czy masz ochotę przejść się ze mną wieczorem do wioski? Jak kolega z kolegą. Zjeść kolację, posłuchać muzyki?

– Na jak długo? Bo czuję, że masz jakiś limit czasowy.

Skrzywił się.

– Zasłużyłem na tę uszczypliwość.

– Owszem. – Uniosła brwi. – Może najpierw spróbujemy odwrócić tego malucha, a potem zobaczymy.

– Zgoda.

Wyszła na korytarz.

– Widzimy się za pięć minut – rzuciła na odchodnym.

Potrzebowała tych pięciu minut, by ochłonać, bo nie mogła uwolnić się od obrazu Bena w stroju gwiazdy rocka, mimo że w podniszczonym i spleśniałym fartuchu lekarskim prezentował się nie gorzej. Zauważyła, że ma przyspieszone tętno.

To tylko reakcja na coś, czego nie ma.

Wszedłszy do gabinetu ginekologicznego, zastał tam pacjentkę na czworakach na podłodze i lekarzkę siedzącą na taborecie, z elektryczną szczoteczką do zębów w ręce. W takich okolicznościach większość lekarzy bez pytania wdrożyłaby inny plan, ale lekarka ze szczoteczką wyraźnie panowała nad sytuacją, a pacjentka nie sprawiała wrażenia przestraszonej. Wobec tego bez słowa stanął pod ścianą, czekając na rozwój sytuacji.

– Już wczoraj zaleciłam jej kołysanie biodrami – wyjaśniła Shanna. – Nie lubię stosować znieczulenia przed zabiegiem. To zbyt ryzykowne. Wolę

bardziej naturalne podejście, a kołysanie biodrami pomaga.

– Brzmi sensownie, ale po co szczoteczka?

– Badania wykazały, że stymulacja wibroakustyczna zmusza dziecko do odsunięcia się od kręgosłupa, ułatwiając mu odwrócenie się. Lubię ten delikatny szum szczoteczki. I wiem, że to jest skuteczne.

– Nie ukulele? – zapytał zawiedzionym tonem.

– Niestety nie. Twojego ukulele nie testowano a moja szczoteczka jest sprawdzona. – Włączyła urządzenie.

– Podejrzewam, że w Brooks Medical Center tego się nie praktykuje, ale może się myłę.

– Nie mylisz się. Gdyby któryś z członków mojej lekarskiej rodziny to zobaczył... – Pomogła Beatriz podnieść się z podłogi, po czym dała mu znak, by się odwrócił, bo zamierzała pacjentkę przebrać.

Ale on wyszedł. Wysoko cenił swą prywatność, więc prywatność pacjentów stała się dla niego priorytetem.

Usiadł przy biurku na korytarzu, czując, że ze zmęczenia ledwo trzyma się na nogach. Tego dnia czuł się marnie i bolała go głowa. Za tydzień, jak przyjadą nowi lekarze, jak ostatecznie wyjaśni się sprawa żółtej febry i minie zagrożenie epidemią, będzie mógł się wyspać. Zamknie oczy i będzie śnił o Toskanii...

– Ben – szepnęła Shanna – obudź się. Dobrze się czujesz? – Dotknęła jego czoła matczynym gestem.

Oprzytomniał.

– Nie wiem, jak było u ciebie, ale u mnie na studiach były zajęcia z drzemania. Uczono nas jak, kiedy i gdzie można się zdrzemnąć, nawet na stojąco, albo opierając się o ścianę, z otwartymi oczami, żeby nikt. się nie zorientował...

– Nawet z gorączką?

Odsunął się od niej.

– Zauważ, że jest różnica między „za ciepło” i „gorąco”. Jest mi ciepło.

Powiniennem trochę się rozebrać.

– Ben, nie ściemniaj.

– Nie ściemniam.

– Jesteś wykończony.

– Mam do tego prawo.

– Ale niedawno wróciłeś z urlopu.

– Który wykończył mnie bardziej niż praca.

– To chyba prawda, że lekarze są najgorszymi pacjentami.

– Przy założeniu, że jestem pacjentem, a nie jestem.

– Ruszył za nią do gabinetu. – Shanna, doceniam twoją troskliwość, ale nie jestem chory. Owszem, bywam zmęczony i przyznaję, że niewyspany. Nic ponadto.

– Na pewno? – zapytała, zatrzymując się. – Bo mogę cię zastąpić nawet w nocy, żebyś się wyspał. Na przykład dzisiaj. Opuśćmy sobie wieczór w wiosce.

Wpatrywała się w niego tak intensywnie jak jego matka, gdy chciała poznać, czy kłamie. „Ben, wiem, że nie mówisz mi prawdy”.

Ale teraz nie kłamał. Nie był chory. Znał swój organizm... z dobrej i złej strony. Teraz był po prostu zmęczony. Nic więcej.

Shanna się przejmuje i o niego martwi. Przesadnie. Mimo to przyjemnie było wiedzieć, że martwi się o niego ktoś spoza stałego grona wiecznie się o niego niepokojących: mamy, siostry, czasami nawet szwagra. Ale nie będzie się do tego przyzwyczajał. Bo czy mu się to podoba, czy nie, Shanna jest tu przejazdem. Tego dnia mu się to nie podobało.



## ROZDZIAŁ ÓSMY

– Od czego zaczniemy? – zwrócił się do Shanny.

Rzuciła mu przenikliwe spojrzenie, jakby chciała przejrzeć go na wskroś, dostrzec wnętrze jego duszy.

– Doktorze Robinson, chciałabym, żeby pan monitorował pracę serca dziecka i parametry życiowe Beatriz.

Emanowała spokojem i ciepłem. Miała to wypisane na twarzy, to oraz wszystko, co sprawiało, że jest dobrym lekarzem. Podobało mu się jej zaangażowanie. Trudno o lekarzy tak oddanych, zwłaszcza w placówkach takich jak Brooks Medical Center. To zrozumiałe, że rodzina chce ją z powrotem. Tacy ludzie w tym zawodzie to rzadkość.

– Nie widzę przeszkód.

– Jesteś gotowa? – zwróciła się do pacjentki.

– *Si*, doktor Shanna.

– Okej, najpierw się zrelaksuj. Może być nieprzyjemnie, ale urodziłaś już dwoje dzieci. – Podała kobiecie szczoteczkę z poleceniem, by po prostu trzy ją nad główką dziecka, po czym zwróciła się do Beatriz.

– Normalnie skorzystałabym z USG, żeby ustalić położenie dziecka, ale mały mocno wbił się w miednicę, więc przechylę łóżko, żeby zmienił pozycję, tylko że... – mrugnęła do niego – tego łóżka nie da się przechylić, więc...?

– Już się robi. – Uśmiechnął się. – Przydadzą się moje grube podręczniki medyczne.

Kilka minut później podłożył je pod nogi łóżka.

Z uznaniem obserwował, jak Shanna manipuluje brzuchem pacjentki,

jakby robiła to codziennie. Pacjentka poddawała się jej z uśmiechem, rozbawiona paplaniną o imionach dla dziecka, mimo że zabieg bez środka znieczulającego musiał być bolesny.

– Okej. Teraz wyobraź sobie, że to masaż brzucha, taki trochę mocniejszy – rzekła Shanna, smarując olejkami brzuch Beatriz. – I powiedz, kiedy będzie bolało za bardzo, bo mogę przestać, żeby podać ci coś na złagodzenie bólu.

– Parametry okej – zameldował Ben, czując się niepotrzebny, bo Shanna wszystko miała pod kontrolą.

Posłała mu uśmiech.

– Ups! Ktoś mnie kopnął! Tak mocno, że chyba mamy do czynienia z przyszłą gwiazdą futbolu. – Przesunąwszy dziecko do pozycji głową w dół, sięgnęła po głowicę USG, by sprawdzić jego ułożenie. – Nieźle – mruknęła, wskazując Benowi monitor.

– Ale ono może się z powrotem odwrócić.

– Te uparte tak robią, chyba że się je chwilę przytrzyma. No wiesz, walczą, żeby ich było na wierzchu.

– Spoważniała. – Ale ja zawsze wygrywam tę bitwę. Z uporem, ze wszystkim, co stanie na mojej drodze.

Czy to ostrzeżenie?

– Co masz na myśli?

– Nic, to tak na przyszłość. Jesteś blady i masz podkrążone oczy, więc albo ty się tym zajmiesz, albo ja. Musisz odpocząć.

– Chłopiec? – zapytała Beatriz nieświadoma podtekstów w tej wymianie zdań.

– Chyba tak. Duży. I gotowy kopać piłkę. Widzisz tutaj? To jego główka, a tu jego... — Uśmiechnęła się szeroko. – Zdecydowanie chłopiec.

Chcieliście chłopca?

Beatriz się uśmiechnęła.

– Mamy dwie dziewczynki, więc przydałby się chłopak.

– Wobec tego imiona dla chłopca... – Przycisnęła mocniej, a dziecko zaczęło poddawać się jej ruchom.

– Esteban, Gerardo, Miguel... – Przygryzła wargę i ucisnęła z jeszcze większą siłą. – Rafael, Raoul... – Jeszcze jeden ucisk. Odetchnęła. – I Nehuen, co znaczy silny, bo, droga Beatriz, nieźle musiałam się napracować. – Przywołała Bena, by mu pokazać, gdzie ma przyłożyć dłonie. – Doktorze Uparty, oto Maluch Uparty. Powinniście się dogadać. Ben, moje plecy muszą odpocząć. Przytrzymasz go, żeby się nie odwrócił? – Pokierowała jego dłonie na właściwe miejsce.

– Zawsze, kiedy byłem świadkiem tej procedury, wydawała mi się bardziej inwazyjna i bardziej stresująca. Tego cię nauczono w Brooks Center?

Kręciła głową, by rozluźnić mięśnie karku.

– Nie. Kieruję pacjentki na nasz oddział położniczy, bo są tam świetni specjaliści. Nie robiłam tego w Brooks. Ale jak pierwszy raz się z tym spotkałam, jeszcze na rezydenturze, zastanawiałam się, co zrobić, żeby to było mniej stresujące. – Obracała się, by zmniejszyć napięcie w krzyżu. – Z czasem doszłam do wniosku, że w procesie leczenia nastawienie lekarza jest prawie tak ważne jak samo leczenie.

– Nieważne, jak tego dokonałaś, ten maluch poddał się bez protestów. I nie zmienia pozycji.

Beatriz zapadła w drzemkę po zabiegu, który często jest traumatyczny. Tak, podejście lekarza jest bardzo ważne, a podejście Shanny sprawiło, że pacjentka przeszła zabieg z uśmiechem na twarzy. Jego serce też się uśmiechało.

Zastanawiał się, co w jej życiu prywatnym albo zawodowym sprawiło, że opuściła jeden z najlepszych ośrodków na świecie i ukryła się w dżungli. Tym bardziej że jest jego współwłaścicielką. Do tej pory podejrzewał, że zrobiła to pod wpływem chwili albo z zamiłowania do podróży, albo że próbuje się odnaleźć. To ma sens. Rozumiał to, bo sam kiedyś za tym podążał, ale nic nie znalazł.

To jednak do niej nie pasuje. Wszystko, co robi, jest z góry przemyślane, umotywowane. Bez cienia wahania czy zagubienia. Przynajmniej na zewnątrz. Coś zatem musiało dziać się w niej. Być może to samo sprawi, że któregoś dnia spakuje manatki i zniknie.

Chciał wierzyć, że kieruje nią chęć niesienia pomocy potrzebującym, ale wiedział swoje: Shanna ma powody, by być w Caridad, ale nie chce mu ich wyjawiać. Co to może być? O czym mu nie mówi?

– Myślę, że już nic tu po nas – odezwał się w końcu. – Poproszę którąś z ochotniczek, żeby posiedziała przy niej przez jakieś dwie godziny i jeżeli nic się nie zmieni, odeślemy ją do domu.

– Przyda mi się przerwa – przyznała. – Muszę się rozruszać, żeby rozluźnić mięśnie.

– Tak bardzo cię boli?

– Fałami. Przykurcze po starej kontuzji.

– Nowa historia z życia Shanny? Kolejny młodzieńczy wybryk?

– I to jaki! Rodzice chcieli, żebym została chirurgiem, ale z bolącymi plecami nie można stać przy stole operacyjnym.

– Nie widzę cię w tej roli, nie dlatego, że wątpię w twoje możliwości, ale czuję, że lubisz kontakt z pacjentem.

– Dokładnie. Ale dla Brooksów medycyna rodzinna to zbyt przyziemne. Dobra dla innych, ale nie dla nas.

– Dla kogoś takiego jak ja?

– Nie deprecjonuję tej specjalizacji, bo ją wybrałam. I uważam, że jesteś idealnym lekarzem rodzinnym, ale widzę cię też w roli chirurga.

– Myślałem o tym, ale nie spodobało mi się spędzanie całego dnia na bloku operacyjnym, więc zacząłem się rozglądać za czymś bardziej urozmaiconym. Czyli za medycyną rodzinną. I jestem zadowolony. Po za tym lubię, jak ludzie mają różne oczekiwania.

– Wobec ciebie?

– Nie, wobec metod leczenia. Tutejsza ludność chce być leczona prostymi metodami. Na przykład nie ma nic przeciwko penicylinie, chociaż gdy w trakcie rezydentury przepisywałem ją pacjentowi, pouczano mnie, że to lek przestarzały, że skuteczniejsze są inne antybiotyki. Ale czysta staromodna penicylina jest równie skuteczna i o wiele tańsza. Innym przykładem jest twoja metoda odwracania płodu. Chyba dla mnie najważniejsze jest, by terapia była prosta. To nie są oczekiwania pacjentów, ale moje.

– W głębi serca jesteś wiejskim lekarzem?

– I jestem z tego dumny. Wraz z postępem medycyna staje się coraz bardziej bezosobowa, a chory chce poczuć, że lekarz się o niego troszczy. Nie chce być traktowany w sposób korporacyjny, bezduszny. Niech żyje wiejski doktor, bo to on uprawia medycynę z ludzką twarzą.

– Wiejski doktor, który znalazł szczęście w dżungli? Jest w tym coś z donkiszoterii. Zazdroszczę ci wyboru.

Jej smutne melancholijne spojrzenie sprawiło, że nagle pojął, na czym polega jej wewnętrzny konflikt. Znalazła się między dwoma modelami medycyny i nie potrafi dokonać wyboru. Tak, to leży u podstaw.

– W moim przypadku wybór był prosty. Spróbowałem i mi się

spodobało. I dostosowałem do siebie.

– Dobrze, że medycyna wiejska się uchowała, bo dzięki temu medycyna jako całość jawi się jako trochę bardziej ludzka.

– Niestety, jest spychana na drugi plan. W Stanach na przykład, jak powiesz, że daje ci dużo satysfakcji, koledzy patrzą na ciebie jak na wariata. Odwiedzasz chorych w domu? Nikt już tego nie robi. Zapisujesz proste leki? Wiele aptek już ich nie prowadzi.

– Ale akurat ten wiejski lekarz znalazł tu swoje miejsce i swoich pacjentów, prawda? I będzie tu praktykował długo i spokojnie. Nie o to chodzi?

– Nie wiem. Ty mi powiedz.

Znowu posmutniała.

– Kiedy byłam jeszcze w szkole, ojciec zabrał mnie na cykl wykładów w Europie. Najczęściej wygłaszał je w dużych miastach, ale w Anglii zrobił przerwę, żeby odwiedzić kolegę, który mieszkał w jakiejś zapadłej wiosce nad morzem, której mieszkańcy żyli z rybołówstwa i sprawiali wrażenie szczęśliwych. Był tam nawet sklep z kapeluszami. Ben, kto by robił kapelusze?! Pierwszy raz znalazłam się poza swoim światem i byłam zdumiona, że tak też można żyć.

Kolega ojca nazywał się Augustus Aloysius Copp. To bardzo zasłużona postać w świecie medycznym.

I ta ważna osoba pracowała w rybackiej wiosce jako lekarz. Brał torbę lekarską, wychodził ze swojego dwustuletniego domu i szedł do chorych mieszkających w innych dwustuletnich domach. Towarzyszyliśmy mu w tych wyprawach, ale ja nie mogłam pojąć, dlaczego on to robi, zwłaszcza że już nie był młody. Ale wtedy dotarło do mnie, że ten zawód można uprawiać inaczej niż w Brooks. Doktor Copp był zadowolony, pacjenci go szanowali, a

on ich kochał. Taki prosty system, który się sprawdzał. Doktor Copp przyznał się, że zawsze chciał uprawiać medycynę właśnie w taki sposób.

– Ale ten system nie jest dla ciebie.

– Nie. – Wzruszyła ramionami. – Na pewno nie w Brooks Medical Center.

– Tutaj jednak potrafisz wziąć torbę i elektryczną szczoteczkę do zębów i regularnie odwiedzać pacjentów. I lubisz to. To się rzuca w oczy. Jak to wytłumaczysz?

– Nie mam pojęcia. Może dlatego, że wiem, jak bardzo potrzebni są doktorowie Copp i Robinson.

– Potrzebna jest też doktor Brooks, gdziekolwiek się znajdzie.

– Kimkolwiek postanowi być – zauważyła gorzko.

– Shanna, dojdiesz do tego. Tymczasem... – Zatrzymał się pod jednym z gabinetów, otworzył drzwi i gestem zaprosił ją do środka.

– O co ci chodzi?

Uniósł do góry dłonie.

– Te ręce potrafią przynieść ulgę bolącym plecom, mimo że nie usuwają przyczyny bólu.

– Naprawdę? Zrobisz to dla mnie? – Nim odpowiedział, była już przy łóżku. – Niech tylko nikt nie mówi, że nie korzystam z okazji. Mam zdjąć koszulę?

– Koszulę...? – wykrztusił.

– Do masażu. Nie łatwiej bez koszuli?

Niemal oślepiony obrazem Shanny bez koszuli heroicznym wysiłkiem woli zachował spokój. Fatalny pomysł ten masaż. Nie ma mowy, by jego umysł, ten podły zdrajca, zachował się profesjonalnie.

– Nie, może być przez koszulę. – Wielka szkoda.

– Krzyż. Nad kością guziczną, trochę w... – Wstrzymała oddech, gdy jego palce bezbłędnie dotknęły bolącego miejsca. – Tak, właśnie tutaj.

– Opowiedz mi o tym urazie kręgosłupa, o tym swoim spektakularnym szaleństwie – poprosił, lekko masując jej krzyż. – I o tym tatuażu.

– Tatuaż to pamiątka po pierwszym akcie buntu, a właściwie część druga większej całości.

– Szaleństwa?

– Tak. Po incydencie z krzesłem zażyczyłam sobie lekcji jazdy konnej, ale rodzice odmówili. Mówili, że nie mają czasu wozić mnie na konie, że to niebezpieczne, że jest dużo innych sposobów spędzania czasu. Na każdy mój argument mieli kontrargument.

– Roześmiała się. – Był to pierwszy raz, kiedy postawili się oboje. Zazwyczaj odsyłali mnie jedno do drugiego, bo nie mieli czasu się zastanowić, co ze mną zrobić. Koniec końców dostawałam, czego chciałam, bo mieli dosyć odbijania piłeczki.

– Przez co stałaś się bardzo upartym dzieckiem. Gdy mocniej ucisnął miejsce tuż obok tatuażu, aż wstrzymała oddech.

– Ty to wiesz, jak sprawić ból.

– Fizyczny? Zraniłem twoją godność?

– Po trochu jedno i drugie, ale masz rację, byłam uparta. Jednak wobec tak jednolitego frontu w kwestii jazdy konnej nie wiedziałam, co robić. Wobec tego olałam ich zakaz i zrobiłam, co chciałam. Koleżanka miała piękną klacz, więc po szkole jeździłam z nią do stajni.

– Żeby przejechać się na jej koniu?

– No nie. Jak już wiesz, byłam uparta... – Skrzywiła się z bólu. – Specjalnie tak robisz? Żeby mnie bolało?

– Spinasz się.



Bo jego dotyk był taki... przyjemny.

– Spinam się, bo trudno mi opowiadać o rodzicach – skłamała.

– Opowiadałaś o koniu koleżanki.

– O swoim koniu – sprostowała. – Był w tej stajni piękny siwek na sprzedaż, więc go kupiłam.

– Jako dziecko miałaś tyle kasy? Ja w tym wieku musiałem harować, żeby zbierać dwadzieścia dolarów.

– Nie, nie miałam takiej kasy, ale znałam kod do sejfu taty, więc podbierałam mu pieniądze. Po trochu, żeby się nie zorientował. Aż zbierałam na konia.

– To kradzież! – Parsknął śmiechem. – Tam, skąd pochodzę, za coś takiego szło się do poprawczaka.

– Tam, skąd ja pochodzę, też. Ale tak się nie stało. Kupiłam konia, zapłaciłam za lekcje i przez ponad rok miałam swoją słodką tajemnicę. Ale kiedyś spadłam z konia. Źle go osiodłałam. Grzmotnęłam na ziemię, doznałam urazu kręgosłupa, tak że do szpitala przewieziono mnie śmigłowcem.

– Przejażdżkę śmigłowcem z pogruchotanym, kręgosłupem trudno utrzymać w tajemnicy.

– Tym bardziej że śmigłowiec wylądował na naszym lądowisku, mimo że stanowczo przykazałam pilotowi, żeby mnie zawiózł do innego szpitala. Kiedy wynoszono mnie na noszach, czekał na mnie komitet powitalny: rodzice, dziadkowie i kilku innych członków rodziny. Wyobraź sobie cały pluton Brooksów w lekarskich fartuchach, który piorunuje cię wzrokiem... No, zaczęli mnie piorunować wzrokiem, dopiero jak się zorientowali, że nie jest ze mną źle. Ale...

– Tajemnica wyszła na jaw.

– Ha! Musiałam zwrócić konia, a następnie ponieść konsekwencje włamań do sejfu. Wyznaczono mi najbrudniejszą robotę w szpitalu.

– Mycie basenów?

Przytaknęła.

– To była jedna z przyjemniejszych stron mojej kary.

– Czuję, że nie przestałaś się buntować – zauważył rozbawionym tonem.

– Jasne, że nie. Mój fizykoterapeuta... był zabójczo przystojny. Byłam nim zauroczona. Chyba bardziej kochałam się w jego tatuażach niż w nim. Były dla mnie symbolem wolności i samookreślenia. Miał muskularne ramiona...

– Nie takie jak moje.

– Ben, masz bardzo ładne ramiona. Nie takie potężne jak Lance, ale ćwiczysz.

– Skąd wiesz?

– Dziewczyny to widzą, nawet przez koszulę. – Tym razem to jego mięśnie stężały.

– Byłem zmuszony wcześniej zacząć, a potem uznałem, że nie warto przerywać.

Chciała zapytać, czy miało to związek z rehabilitacją, ale wyczuła, że Ben nie ma ochoty rozmawiać o bliznach.

– To tak jak ja. Nie widziałam powodu, żeby zrezygnować z buntu, więc zdecydowałam się na tatuaż. Najpierw chodziło mi po głowie coś mrocznego, czaszka albo wąż. Ale wybrałam tatuaż bardziej wymyślny. Ponieważ miałam uraz kręgosłupa, wybrałam filar dzed, staroegipski symbol stabilności oraz trwałości, i kazałam go wytatuować właśnie na kręgosłupie.

– Bardzo wymyślny ten twój dzed. I wymowny. Założę się, że rodzice

tego nie docenili.

– Nie miałam zamiaru się nim afiszować, ale któregoś dnia włożyłam kostium kąpielowy i dziadek go, zobaczył.

– Zrobił aferę?

– I to jaką! Jakbym go miała na czole.

– Znowu mycie basenów?

– Bez wahania mogę powiedzieć, że zostałam wtedy królową szpitalnych basenów.

– Za to miałaś to, czego chciałaś.

– Tatuaż?

– Nie, uwagę rodziny. Zakładam, że byłaś inteligentną dziewczynką, a inteligentne dziewczynki doskonale wiedzą, że wyjdzie na jaw, że ukradły ojcu pieniądze, kupiły sobie konia, zrobiły tatuaż. Shanna, te twoje szaleństwa były całkiem zrozumiałe. Chciałaś sprawdzić, czy rodzice na ciebie patrzą.

Nigdy nie rozpatrywała tego pod tym kątem. Dla niej były to dziecięce wybryki, głupie, szczeniackie zagrania. Ale wołanie, by ją dostrzeżono?

– Oni byli zapracowani...

– Zapracowani ludzie, których dziecko chciało być zauważone.

I dlatego stała się taka uparta, ale to było dawno. A jeśli teraz on też tak o niej myśli? Jeśli uważa, że za jej pobytem w Caridad kryje się to samo? Do takiego wniosku prowadzi wszystko, co mu opowiedziała, więc dlaczego i on nie miałby poczuć się zmanipulowany?

– Myślisz, że dlatego tu jestem? Że dalej jestem dzieckiem, które domaga się uwagi? Że przyjazd do Argentyny to kolejny krok albo dwa dalej niż tatuaż? – Usiadła. – Tak myślisz? Że domagając się uwagi, przyleciałam na koniec świata w nadziei, że ktoś mnie zauważy? Że to z mojej strony...

manipulacja?

– Shanna, nie jesteś egoistką. Ja to czuję i nie myślę, że jesteś manipulanką.

W tej samej chwili zdała sobie sprawę, że jednak nią jest, że chce się nim posłużyć, by rodzina ponownie ją zaakceptowała, przyjęła z powrotem. Może nie robi tego otwarcie, ale chcąc go naśladować dla osiągnięcia swoich celów, dopuszcza się swoistej manipulacji. Zawstydziła się. Powinna być z nim szczerą od początku. Teraz na to za późno. Bo Ben nie jest taki, jak jej się wydawało, a co gorsza, zakochała się w nim.

– Ben... – Zsunęła się ze stołu. – Jak chodzi o dzisiejszy wieczór, to nie mogę z tobą pójść do wioski Poza tym musisz odpocząć.

Miała ochotę zaproponować inną porę, ale nie była pewna, czy wypada. Bo ciągnąc to dalej, byłaby zmuszona opowiedzieć mu o wszystkim, a to sprawiłoby przykrość temu człowiekowi, tak dobremu i porządnemu. „Ben, zjawiłam się tutaj, żeby nauczyć się naśladować takiego zimnego drania jak ty”. Było jej wstyd że kierowała się taką motywacją.

Jaki to ma sens? Zawsze kończy się tak samo. On zrobił krok do przodu, ona krok do tyłu. Złamał swoje postanowienie i wyszło jak zawsze. Jednak zdarzało się, że chciał po prostu zapomnieć, kim jest i jak żyje Tak samotnie, że boi się pomyśleć o kolejnym dniu Zwlekając się z łóżka, czuł się czasem, jakby szedł na śmierć. Zdawał sobie sprawę, że Shanna nie zostanie w Caridad. I chciał o tym zapomnieć. Zapomnieć o przeszłości, zapomnieć o wszystkim.

Nieważne. Może jednak ważne? Bo cierpi niewyobrazalnie, nie mogąc się jej oprzeć. Więc czy jest sens? Czuł, że się zakochuje, a to równało się ze skokiem w otchłań. Oto ten sens.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

– Wracają w przyszłym tygodniu – oznajmił przy śniadaniu. Cieszył się na myśl o powrocie siostry i szwagra, ale jednocześnie niepokoił, bo choć ciąża Amandy przebiegała podrechnikowo, przewidywał, że siostra natychmiast rzuci się w wir pracy.

Jasne, teraz to problem Jacka, a jemu przypada rola obserwatora. Zazdrości siostrze. Założyła rodzinę, spodziewa się dziecka, a on o tym nawet nie marzył. Po co się oszukiwać? Jemu nie jest pisane małżeństwo, rodzina, szczęście. Od dawna ma tego świadomość.

– Więc gdybym wyjechała, nie zostaniesz sam na posterunku?

– Chcesz wyjechać? – To go nie zdziwiło. Shanna potrzebuje więcej niż Caridad. Ma za dużo energii. Zdawał sobie z tego sprawę, ale nie było to po jego myśli.

– Nie wykluczam, ale decyzji jeszcze nie podjęłam.

– Wracasz do Chicago? Do szpitala?

Pokręciła głową.

– Hm, wracam, ale w innej roli. Nie będę pracować z pacjentami, a w administracji szpitala. Jako dyrektor operacyjny.

– To znaczy? – spytał zszokowany.

– Będę odpowiedzialna za płynne funkcjonowanie wszystkich elementów całej infrastruktury, łącznie z księgowością. Będę też czuwać nad integracją planu strategicznego oraz wszystkich programów rozwojowych. To bardzo odpowiedzialna funkcja, nowa w Brooks Medical Center, a moja rodzina uważa, że powinna zostać w rodzinie.

– To co tu robisz, pracując zapewne ciężiej niż kiedykolwiek wcześniej i

opowiadając, że chcesz mnie naśladować?

– Może to mój ostatni romans z medycyną, żebym się ostatecznie upewniła, gdzie jest moje miejsce.

– Wracasz do Brooks i już nie będziesz miała kontaktu z pacjentem, tak? Czy to ma sens? Shanna, to do ciebie nie pasuje. Kontakt z pacjentami to twój żywioł. Mało kto jest im tak oddany. Każdy to widzi. I każdy kto cię pozna, wie, że jak odsuniesz się od pacjentów będziesz nieszczęśliwa. Dlaczego chcesz to zmienić?

– Ben, dostosowałam się do swojego życia. I ja też to robię, dostosowuję się.

– Ale nie porzuciłam tego, co kocham.

– Nie zamierzam tego rzucać, po prostu chcę pójść w innym kierunku.

Coś musi się za tym kryć, bo Shanna wyraźnie nie chce zrobić tego ruchu. Po jej minie widać, że to po myłku.

– Chcesz czuć się jeszcze bardziej zagubiona? Bo stanie się tak, jak tylko zasiądziesz za dyrektorskim biurkiem. Myślę, że to wiesz. Shanna, są urodzeni administratorzy i są urodzeni lekarze. Ty do należysz do tych drugich. Całym sercem i duszą chcesz pomagać innym, a jak się tego wyrzekniesz, do końca życia będziesz żałować. To cierpienie może popchnąć cię w kierunku, o który nigdy byś się nie podejrzewała. – Alkohol, narkomania. Nawet gorzej.

– Nie, nie zamierzam skazywać się na jeszcze większe zagubienie, bo to już niemożliwe – odparła.

– Więc dlaczego chcesz opuścić Caridad? Nie jesteśmy tak wypasieni jak Brooks Medical Center, ale myślę, że wiesz, kim tutaj jesteś.

– Dlaczego miałabym tu zostać?

– Bo kochasz tę pracę. Chyba nie zaprzeczysz?

– Uhm... Kocham też wylegiwać się na tropikalnych plażach, ale nie aż tak bardzo, żeby tam spędzić resztę życia. Poza tym niedługo będziesz miał personel w komplecie, więc niepotrzebny ci dodatkowy lekarz.

– Nie rozmawiamy o tym, czego mi trzeba albo nie trzeba w Caridad. Lekarzy potrzebujemy zawsze. Dlaczego chcesz to zrobić? – Kurczę, dlaczego nie potrafi jej powiedzieć wprost, że chce, by została? Że lubi jej obecność? Że dzięki niej czuje... no właśnie, że coś czuje?

Bo to wymagałoby zrobienia następnego kroku, zaangażowania, a tego w nim nie ma. Tak, zostałyby z litości albo z altruistycznego poczucia obowiązku wobec pacjentów, bo taka już jest. W końcu jednak przestałaby wpatrywać się w niego jak wtedy, gdy go całowała, jak oddana kochanka. Nie chciałaby widzieć, jak w jej oczach gaśnie ten blask. I dlatego nie będzie prosił ani błagał, by została. Bobby to zrobiła, ale z powodów, które naraziłyby ją na cierpienie.

– Ben, masz tu całe mnóstwo chętnych wolontariuszy. Nie jestem ci potrzebna.

– Ale miło jest mieć kogoś... na stałe.

Roześmiała się gorzko.

– To o mnie. Utknęłam tutaj. – Spojrzała na kanapkę, nad którą siedziała od dwudziestu minut, po czym sięgnęła po nią i cisnęła przez całą izbę, trafiając prosto do kosza na śmieci. – Nie martw się, nie zostawię cię na lodzie. Głęboko przeżywam wizytę każdego pacjenta, ale nie jestem nieodpowiedzialna.

Wstał od stołu tak gwałtownie, że aż jego krzesło się przewróciło.

– Kto powiedział, że nie jesteś odpowiedzialna?

– Tak wprost? Nikt. Dali mi to do zrozumienia ojciec, dziadek, matka oraz babcia. Moi bracia. Zrozum, jestem ulepiona z innej gliny niż oni albo

dalej tkwi we mnie dziecięcy upór. Nie mam pojęcia, za to wiem, że przychodzi taki czas, kiedy należy wziąć życie za rogi. Dla mnie ten czas nadszedł. Moje życie jest takie... jakie jest. – Ruszyła do drzwi, ale zatrzymała się na progu. – Ben, Kocham szpital Caridad i to, co tu robicie. Na tym polega mój problem. Kocham, a to przeszkadza. Kto jak kto, ale ty powinieneś to rozumieć bo udało ci się wykorzenić miłość ze swojego życia do tego stopnia, że wątpię, czy potrafisz ją dostrzec.

Mimo że nie zamierzała być okrutna, jej słowa zaboląły go tak, jakby go spoliczkowała. Święta prawda ale przykro coś takiego usłyszeć. A jeszcze trudniej mając świadomość, że Shanna to zauważyła.

– Ja... hm... staram się oszczędzać uczucia innych – odparł – bo wiem, jak trudno pogodzić się z ułomnościami. Taki jestem, Shanno. Egzemplarz wadliwy. Akceptuję to, bo chociaż ludzie się nade mną litują, nie trwa to długo. Po co kogoś na to skazywać

Po co mam sam się na to skazywać, skoro znam zakończenie? Jeśli chcesz, możesz uważać, że wyzbyłem się miłości, ale taki już jestem. Ty jesteś inna. Miłość nie stanowi dla ciebie przeszkody. Dzięki niej jesteś tym, kim jesteś... lekarzem pełnym pasji i empatii. Pomysł zaprzepaszczenia tego w papierkowej robocie uważam za... chybiony.

– Ale, Ben, co się dzieje, gdy pasja i empatia przeszkadzają w leczeniu chorych?

Miał już pełny obraz tego, co z nią zrobiła jej rodzina.

– Mówisz, że nosisz serce na dłoni.

Przytaknęła.

– Tak, taka jestem – wykrztusiła. – Jako lekarz jestem mięczakiem, bo angażuję się emocjonalnie.

– Kto ci to wmówił?! – Prawdę mówiąc, bez trudu się domyślił, bo miał



sposobność zetknąć się z Milesem Brooksem. Rozpoznał jego dzieło.

– Nieistotne, bo to prawda. Za bardzo się angażuję. Zapominam o obiektywizmie.

– Shanna, dziadek nie ma racji. Empatia to wyjątkowo cenna cecha. Rozumiesz pacjentów lepiej niż większość lekarzy, więc ganiecie cię za to jest dowodem ignorancji i nietolerancji. Dlaczego chcesz wracać tam, gdzie nie możesz być lekarzem posiadającym taki dar? Dlaczego zgadzasz się na rolę, która do ciebie nie pasuje?

– W przeciwnym razie stracę nie tylko miejsce w szpitalu, ale i w rodzinie, a niezależnie od tego, jaka ona jest, nie chcę z nią zrywać.

– Może ty nie chcesz, ale zwróć uwagę, jak bardzo oni chcą się od ciebie odciąć. Shanna, wiem, jak się czuje ktoś, komu odebrano wszystko. Po tym wypadku przez cały rok walczyłem o życie i sam nie wiem, ile razy popadałem w zwątpienie. Nie z powodu bólu i perspektywy kolejnych operacji, ale z powodu świadomości, że moje dawne życie się skończyło. Straciłem młodość, niewinność i wszystko, na co liczyłem w przyszłości, bo to, co kochałem robić, naprawiać auta z tatą, przepadło. Wierz mi, trudno się z czegoś takiego pozbierać. W wieku dziewiętnastu lat już byłem alkoholikiem. Dzień w dzień kilka drinków, nawet dziesięć. A gdy to przestało wystarczać, sięgnąłem po narkotyki.

– Ben, nie wiedziałam...

– Nie wie o tym nikt poza moimi najbliższymi. To był zły okres dla nas wszystkich. Tak się wtedy zagubiłem, że nie wiedziałem, jak dożyć końca dnia, nie mówiąc o całym życiu, bo bałem się pogodzić ze stratą. Chcesz zrobić to samo. Wyrzec się siebie, bo się boisz, że stracisz bliskich, ale strata Shanny Brooks jest stratą o wiele większą.

Otarła łzy, gdy ją objął. Tak, jej miejsce jest w jego ramionach. To

wielkie ryzyko, ale w tej chwili potrzebowała więcej niż on i nic innego się nie liczyło.

– Jesteś dobrym człowiekiem – wyszeptała, kładąc mu dłoń na piersi. – Nie wiem, ile wycierpiałeś, ale jest w tobie za dużo dobroci, żebyś odgradzał się od tych, którzy to widzą i chcą z niej czerpać. – Przesunęła dłoń na guziki jego koszuli. – Jakiś czas temu, kiedy powiedziałam, że chcę się siebie wyrzec... – Rozpięła górny guzik. – Ty to robisz, prawda? Wyrzekasz się siebie, chowasz, żeby broń Boże nikt cię nie znalazł. To tak samo jak ja, prawda? Zaszłyś się w dżungli ze strachu, że ktoś może się do ciebie za bardzo zbliżyć. A ja izoluję się od rodziny ze strachu, że się ode mnie odwróci. Niezła z nas para.

Nie był przygotowany na tak brutalną szczerłość, bo trafiła w samo sedno. Łatwiej być zagubionym.

– Próbowałem inaczej, ale mi nie wyszło.

Rozpięła kolejny guzik

– Bo nie chciałeś, żeby się udało. Jesteś inteligentnym facetem, może najbardziej inteligentnym, jakiego znam, więc nic cię nie powstrzyma, jak czegoś zapragniesz.

Dotknął jej dłoni, by ją zatrzymać, bo to, co by zobaczyła pod koszulą, było obrzydliwe.

– Pragnę leczyć ludzi w Caridad.

– I mieć święty spokój, zapomniałeś dodać. Chcesz żyć jak samotnik i żeby nikt się do ciebie nie zbliżał. Żeby za jakiś czas dzieci Amandy wspominały wujka dziwaka, który całe życie spędził w tym jednopokojowym mieszkanku, z którego wychodził tylko do pracy. – Spojrzała mu w oczy. – Ja się z tym obnoszę, ty starannie to ukrywasz.

Bez ostrzeżenia cofnęła dłoń, po czym jednym ruchem rozsunęła brzegi

jego koszuli.

– Kurczę... – warknął, zasłaniając się.

– Nie! – wyszeptała, chwytając go za rękę. – Ben, nie rób tego.

– Nie rozumiesz... – Odepchnął ją, po czym dosłownie rzucił się w stronę łazienki. By się ukryć.

Ale ona była szybsza. Chwyciła go od tyłu, oplótła ramionami i oparła mu głowę na plecach. Stali tak przez minutę albo... całą wieczność. Jego pragnienia, jego rzeczywistość... Nagle się ocknął, wrócił tam, gdzie powinien być.

– Shanna, nie rób tego. Nie łudź się, że to coś więcej. Pracujemy razem, nic poza tym. Tym się zajmuję.

– I nie chcesz nic? – zapytała. – Ben, powiedz prawdę. Nic więcej od nas nie chcesz?

– Chcę tylko...

– Móc spokojnie pracować. W kółko to powtarzasz i pewnie w to wierzysz. Ale ja nie wierzę.

Potrafiłby się z nią rozstać? Przecież chce, by została, chce się ludzić, że wszystko się ułoży, że pójdą w ślady Amandy i Jacka. Że gdy pokonają wszystkie przeciwności losu, połączy ich miłość. Ale wie swoje, bo zna siebie, a Shanna nie zna prawdziwego Bena Robinsona. Widzi w nim lekarza i zewnętrzne cechy mężczyzny, ale to, co kryje się pod nimi, jest tak potworne, że przyćmi jej optymizm. Nie wolno dopuścić, by ten optymizm zmalął lub zgasł... bo właśnie za to ją pokochał.

– Shanna, wszyscy dokonujemy wyboru na podstawie tego, jacy jesteśmy. To niezaprzeczalny fakt.

Stając przed nim, rozchyliła brzegi jego koszuli.

– A jak opieramy ten wybór na błędnej percepcji własnej osoby? –

Delikatnie przesunęła palcami po bliznach. – Może to twój przypadek, Ben?

Zacisnąwszy powieki, stał rozdarty między fizycznym pragnieniem i niezachwianą pewnością, co będzie potem. Jeszcze nikt tak się do niego nie zbliżył, nikt tak go nie dotykał. Fizycznie oraz emocjonalnie. Od niej, od Shanny pragnął więcej niż od kogokolwiek innego. Żeby go dotykała... choćby tyle. Przez moment. Ale to się skończy. Musi. Walczył ze sobą.

– Zrobiłem to, co musiałem, i nie mam żadnych złudzeń. – To prawda, ale Shanna nie może jej poznać.

– Ben, ty to nie same blizny.

Muskała jego tors tak delikatnie, że ledwie to do niego docierało, ale dreszcz, nad którym usiłował zapanować, oraz emocjonalne podniecenie były dowodem jej bliskości. Niebezpiecznej.

– A ty to nie tylko twoja rodzina. – Starał się ukryć, jak bardzo jest poruszony. – Shanna, przestań. Nie możemy...

Odetchnął głębiej z zamiarem odsunięcia się, ale gdy spojrzał jej w oczy, poczuł, że nie jest w stanie się poruszyć. Jaka ona piękna. I niewinna. Nieskalana ohydą życia. Oby tak pozostało, pomyślał.

– Nie zdajesz sobie sprawy, z czym to się wiąże. Nie znasz mnie...

– Ben, dotknij mnie. – Ujawszy jego dłoń, położyła ją na swoim sercu.  
– Chcę, żebyś mnie dotykał.

Wspaniały facet, pod każdym względem. Widziała jego piękno, czuła je, ilekroć na niego patrzyła. Ale jak mu pokazać coś tak oczywistego?

Ujęła jego twarz w dłonie, po czym powiodła palcami po bliźnie ciągnącej się od lewego ucha do brody i dalej na ramieniu, torsie aż do brzucha. Gdy jej palce zatrzymały się na pasku spodni, zawahała się na moment. Rozpięła je, zsunęła wraz z bokserkami, by przeciągnąć palcami po podbrzuszu, biodrze aż do połowy uda, gdzie blizna się kończyła.

Czuła, że Ben drży, że mięśnie mu stężały. Była pewna, że gdyby podniosła wzrok, zobaczyłaby zaciśnięte zęby i powieki. Nie zwracając na to uwagi, pocałowała koniec blizny na udzie, po czym jej wargi powoli zaczęły piąć się wyżej tym samym szlakiem, którym wcześniej podążały palce. Zatrzymały się na piersi, bo wówczas splotła dłonie na jego karku. Ben ostatecznie się poddał, rozluźnił, a ona, odnajdując bratnią duszę, dała się ponieść uczuciu.

Obudziła się, gdy jeszcze było ciemno. Prawdę mówiąc, prawie nie spała, pochłonięta rozmyślaniami o tym, jak rozważania o możliwości wyjazdu z Caridad doprowadziły do tak pięknego zakończenia. Teraz leży obok Bena, jednak mimo że było pięknie, dręczył ją niepokój.

Różne myśli chodziły jej po głowie, bo z nastaniem dnia będzie tak samo jak dawniej. Na krótki czas znaleźli schronienie w swych ramionach, co tylko jeszcze bardziej rozbudziło jej uczucie. Ale nic więcej się nie zmieniło.

Nie warto się oszukiwać, że jedna taka cudowna noc wniesie coś nowego. Nie akceptuje jej rodzina, nie akceptuje Ben. Musi się z tym pogodzić.

Ben... jest fantastyczny. Ma wszystko, czego od dawna pragnęła. Dobry, taktowny i empatyczny. Ale zdystansowany. Nie potrafi się rozluźnić. Albo tylko wykonuje odpowiednie ruchy. Wyczuwała to, gdy ją obejmował, całował, gdy się z nią kochał. Dał jej tylko niewielką część siebie. Którą? Może podzielił się tylko cielesną potrzebą, podczas gdy ona chciała, by włożył w to choćby trochę serca. Czuła, jak ogarnia ją uczucie wewnętrznej pustki.

Na razie musi się z tym pogodzić, a być może w dzień ujrzy to w całkiem innym świetle. Może też jeszcze trochę poudawać, by obudziwszy się, Ben zobaczył w jej oczach to, co możliwe, a nie tylko to, co niemożliwe.

Kochanie kogoś nie powinno być aż tak trudne, pomyślała, ciasno się do niego przytulając. Objęła go w pasie tylko po to, by poczuć więź. Może właśnie tego jej brakowało, gdy się kochali, realnej więzi. Z drugiej strony nie jest wykluczone, że widzi jakieś swoje kompleksy tam, gdzie ich nie ma. Tak czy owak, niedługo trzeba wrócić do obowiązków zawodowych, więc powinna się przespać.

Odetchnęła głębiej i już rozluźniona napawała się bliskością jego ciała...

Nagle wstrząsnął nim dreszcz, a jego oddech na chwilę stał się płytki. Ben dyszy? Zadrżał znowu. I jeszcze raz.

– Ben... – szepnęła, dotykając jego ramienia.

W odpowiedzi zabełkotał sennie. To rozumiała. Śpi i nie chce, by mu przeszkadzano. Mimo to oparła się na łokciu, pochyliła nad nim, po czym bezwiednie przyłożyła mu dłoń do czoła. Staroświecka metoda diagnostyczna, ale sprawdzona. Ben był rozpalony.

– Ben! – Potrząsnęła nim.

Gdy w odpowiedzi ponownie coś mruknął, włączyła lampkę nocną, by odwrócić go na plecy.

– Ben, słyszysz mnie?

Otworzył oczy.

– Nic mi nie jest – zachrypiał.

– Spójrz na mnie – poprosiła, widząc, że powieki mu opadają. – Popatrz na mnie. Otwórz oczy i skup się na mnie. – Klękając, by lepiej mu się przyjrzeć, zorientowała się, że jest nagi, a ona ma na sobie tylko jego T – shirt. – No, otwórz oczy. – Klepała go po policzkach, by go obudzić.

– Już się na tobie skupiałem. – Otworzył oczy i blado się uśmiechnął.

– Masz gorączkę. Mówiłeś, że jesteś zmęczony, a nie chory. Ale teraz masz wysoką gorączkę.

– Przez ciebie. – Potrząsnął głową. – Ale nie jestem chory. Wystarczy, że porządnie się wyśpię.

Mimo że już nie bełkotał, mówił z wyraźnym trudem.

– Od jak dawna źle się czujesz? – Policzyła tętno: przyspieszone. Węzły chłonne trochę powiększone.

Zamiast odpowiedzieć, zapadł w sen.

– Ben, proszę, nie zasypiaj.

– Nie mogę – mruknął. – Robiłem... potworne rzeczy. Zawiodłem...

Uznała, że musi go zbadać, nie mogła się jednak zdecydować, czy pobiec do sąsiedniego pokoju po torbę lekarską, czy po prostu wezwać doktora Huebera, który tej nocy miał dyżur, i nie przejmować się, co on sobie pomyśli.

Przypuszczenia doktora Huebera mogą zaszkodzić opinii Bena. W tej sytuacji błyskawicznie się ubrała, biegiem wróciła z torbą i niemal upadła obok niego na łóżko, by zmierzyć mu ciśnienie. Niskie. Oddech nieco za płytki. Źrenice reagują, ale z pewnym opóźnieniem. Na razie nie jest źle. Zaniepokoiła się poważnie, słuchając pracy serca. Tętno nitkowate.

Infekcja? Widziała wcześniej, że jest zmęczony i że opuszcza posiłki, tłumacząc, że nie ma na to czasu. Może on tak ma, a może są to objawy czegoś poważnego.

– Ben, obudź się! Muszę ci zadać kilka pytań.

– Muszę wziąć prysznic – wymamrotał. – Rano wizyty domowe...

– Wybij je sobie z głowy. – Pospiesznie grzebała w szufladzie w poszukiwaniu bokserek i skarpetek, by go ubrać, żeby prezentował się godnie, gdy go skieruje do szpitala. Po skarpetkach koszula oraz spodnie.

Dopiero wtedy wezwała doktora Huebera i zapoznała go z sytuacją. Hueber natychmiast wysłał dwóch wolontariuszy po nosze i po kilku

minutach Ben leżał na stole podłączony do monitora kardiologicznego i kroplówki.

– Kiedy to się zaczęło? – zapytał lekarz.

– Wieczorem czułem się dobrze. Po dyżurze rozmawialiśmy jakiś czas, ale rano, jak chciałam sprawdzić, czy wyszedł do pacjentów, zastałam go w takim stanie.

– Wcześniej coś zauważyłaś? Jestem tu dopiero od kilku dni, więc nawet nie miałem okazji z nim rozmawiać, ale może tobie coś rzuciło się w oczy.

– Narzekał na zmęczenie i nie miał apetytu.

– Czułem się dobrze – wtrącił Ben. – Za dużo pracuję.

– Przepracowanie nie usprawiedliwia takiego stanu – zauważyła Shanna, nerwowo spoglądając na monitor.

– Lepiej powiedz, kiedy poczułeś się gorzej.

– Kilka minut temu.

Zerknęła na Huebera, który przygotowywał maskę tlenową.

– Ben, mów prawdę. Od kiedy źle się czujesz?

Tym razem nie odpowiedział. Głęboko westchnął, po czym zapadł w sen.

– Zakładam, że ma wszystkie szczepienia – odezwał się Hueber.

Prawdę mówiąc, nie miała o tym pojęcia. Wiadomo, że lekarze są najgorszymi pacjentami, więc przyjęła, że Ben nie zapomniał o szczepieniach. Na to Uczyła, bo od tego mogli zacząć wykluczanie poszczególnych chorób. Dotknęła jego czoła.

– Coś ty zrobił, Ben? – zapytała, ignorując wymownie uniesione brwi Huebera. – Coś ty złapał? – Potrafią leczyć go tutaj czy powinni gdzie indziej szukać ratunku?



Hueber odkasznął.

– Domyślam się, że nie obejrzałaś go dokładnie. Mam na myśli profesjonalnie – uściślił.

– Jak mam to rozumieć? – zapytała, wyczuwając w jego głosie aluzję.

– Pod kątem ukąszeń, ran, wysypki. To ważne w dżungli, bo występują tu różne nieznane zmienne, z którymi nie umiemy sobie radzić. No wiesz, trzeba popatrzeć między palce rąk, stóp oraz w inne miejsca, gdzie normalnie się nie zagłada.

– Nie, nie oglądałam go. Znalazłam go chwilę przed tym, jak cię zawołałam. – Do pewnego stopnia była to prawda. Poza tym nic Hueberowi do tego, że wcześniej spędziła z Banem najcudowniejszą noc w życiu.

– Pójdę obudzić drugiego lekarza, żeby usiadł w izbie przyjęć, a ty go obejrzyj. I trzymaj kciuki, żebyśmy trafili na coś, co łatwo zidentyfikować, bo w Caridad nie ma środków medycznych, które można by zastosować, jeśli nie trafimy na coś prostego. – Westchnął. – I się ze mną nie kłóć, bo mam zamiar zamówić transport na wypadek, gdybyśmy nie byli w stanie go leczyć.

Nie oponowała. Benowi zawsze towarzyszyła niepewność, co będzie dalej. Prawdę mówiąc, to ją kręciło. Otwierało przed nią nowe medyczne horyzonty, o których wcześniej nie miała pojęcia. W głębi serca chciała zostać w Caridad, uczestniczyć we wszystkim, co Ben robi. Chciała być jego częścią. Ale pozostanie w Caridad mogło też oznaczać, że nie dostanie od niego tego, czego szuka.

– Co cię tak urządziło? – szeptała, oglądając najpierw jego lewe ramię, potem prawe i porównując gładką skórę z tą pooraną bliznami. – Tyle przejść... i tyle osiągnąć...

Lekarz w niej ustąpił miejsca kobiecie. Łzy spływały jej po policzkach. Nieważne, czy Hueber je zobaczy, nieważne, że się dowie. Kocha tego faceta

i mało ją obchodzi, że nosi serce na dłoni ani że jest mięczakiem, jak ujął to dziadek. Teraz musi płakać. Nad sobą, nad Benem.

– Jak wyzdrowiejesz, Ben, będziemy musieli poważnie porozmawiać.

Poruszył się, otworzył oczy i przez chwilę się w nią wpatrywał, po czym uniósł ramię, by zetrzeć łzy z jej policzka, ale odpłynął, nim opuścił rękę.

– Wyprowadzę cię z tego – obiecała. – Nie wiem, co to za świństwo, ale jestem dobrym lekarzem. – Pochyliła się nad jego uchem. – A ty dobrym kochankiem. I nad tym możemy pracować, ale najpierw musisz wyzdrowieć. Słyszysz mnie? Musisz wyzdrowieć.

Leżał nieruchomo, więc przez kilkanaście kolejnych minut oglądała go w poszukiwaniu śladów, które naprowadziłyby ich na właściwy trop. Niczego jednak nie znalazła.

– Przyszła jego siostra. – Hueber wsunął głowę za zasłonkę. – Z mężem. Chcą się zająć tym przypadkiem. Mówię to tak, dla twojej informacji.

Kiwnęła głową, a gdy Hueber zniknął, pocałowała Bena w policzek.

– Wrócę, obiecuję.

– Co to jest? – zapytała Amanda, gdy Shanna wyszła do holu.

– Nie wiadomo. Na razie leczymy go objawowo i obserwujemy.

– To za mało! – syknęła Amanda.

– Jestem Jack Kenner – przedstawił się jej mąż.

– Miło cię poznać. Shanna Brooks.

– Co podejrzewasz? – zapytał. – Jak się zachowywał, zanim zachorował? Miał jakieś objawy?

– Narzekał na zmęczenie, nie miał apetytu. Rano nagle zaczął gorączkować, dostał arytmii, miał trudności z oddychaniem. Był letargiczny, chwilami odpływał. Na razie z tego wychodzi, ale za każdym razem zapada się coraz głębiej.

– Jesteś pewna, że objawy wystąpiły dopiero dziś?

Ograniczyła się do kiwnięcia głową.

– Ostatnio kilka razy go pytałam, czy dobrze się czuje, ale zawsze odpowiadał, że nic mu nie jest.

– Chcę, żeby zajął się nim Jack – oświadczyła Amanda. – Nie ma czasu na owijanie w bawełnę czy oszczędzanie czyichś uczuć. Jack jest najlepszy i chcę, żeby Ben miał najlepszego lekarza.

Widząc jej zdenerwowanie, Shanna powstrzymała się od polemiki. Ale obiecała Benowi, że się nim zajmie, a on jej zaufał. Czowała to.

– Z całym szacunkiem, Amando, Jack jest mi potrzebny w laboratorium. Jest najlepszy, więc musi przebadać jego krew, a to ja będę leczyć Bena, bo mu. to obiecałam. Przepraszam, ale muszę mu pobrać krew.

– Mogę go zobaczyć? – zapytała Amanda.

– Za kilka minut. Jestem w trakcie badania. Dam ci znać, jak skończę.

– On nie...?

Amanda nie musiała kończyć tego pytania, bo i Shannie serce się ścisnęło na tę myśl.

– Nie, nie.

Te słowa nie powinny się jej wyrwać, bo gdy poprzednio je powiedziała, zawiiodła pacjentkę. Wtedy na pewno dały o sobie znać jej emocje. Teraz musi pogodzić się z tym, że taka jest, przez wzgląd na Bena. Z tą świadomością zawróciła do kabiny. Jack ruszył za nią, twierdząc, że sam musi pobrać próbki krwi.

– W mojej pracy należy sprawdzić wszystkie zmienne – wyjaśnił, omiatając wzrokiem Bena, po czym skierował się do szafki z fiolkami. – Że też musiało go to spotkać po tym, przez co przeszedł... – Założył Benowi opaskę uciskową i zaczął szukać żyły. – Na pewno by mu się nie spodobało,

że leży teraz taki obnażony. Robi wszystko, żeby się zakryć.

– Ona już mnie widziała – mruknął Ben.

Wkłuwając się w żyłę, Jack się roześmiał.

– Podsluchujesz nas!

– Trochę. Nie mogę otworzyć oczu, ale słyszę.

– Raz słyszysz, raz nie słyszysz – zauważyła Shanna, stając w głowach łóżka z mokrym ręcznikiem, by otrzeć mu twarz.

– Wieczorem było w porządku? – dopytywał się Jack. – Nie jestem wścibski, ale muszę ustalić dokładny czas...

– Czuł się dobrze mniej więcej do północy. – Wzruszyła ramionami, spoglądając na Jacka, który napełniał trzecią fiolkę. – Ale jak obudziłam się po piątej, już był w takim stanie. Najpierw zauważyłam, że jest gorący, potem resztę objawów. – Zanurzyła ręcznik w misce i wyżeła go, by ponownie otrzeć Benowi czoło, ale w pół gestu znieruchomiała. – Witaj, całujący robaku!

Całujący robak, czyli krwiopijny pluskwiak z podrodziny *Triatominae*, za dnia ukrywający się w ścianach i dachach, a ujawniający się w nocy, kiedy ludzie śpią.

– Jack, popatrz na tę opuchliznę nad lewym okiem.

– Te owady zazwyczaj wybierają ludzką twarz, stąd charakterystyczna opuchlizna w sąsiedztwie oka.

– Ona się zna na insektach – wybełkotał Ben.

– Nie przeczę, ale akurat ten nie jest moim faworytem. – Bo czyni zbyt wielkie spustoszenie. Często zabija swoje ofiary albo powoduje ich niepełnosprawność. Nierzadko jedynym ratunkiem jest przeszczep serca.

Rokowanie w przypadku Bena? Miała nadzieję, że dobre. Bo to wczesne stadium, więc powinien poskutkować przeciw pasożytniczy

benznidazol. Tego trzeba się trzymać. Ben jest silny i wyzdrowieje.

– Ben, naprawdę, uządlenie pszczoły byłoby prostsze.

– Nie mówiłem, że jestem łatwy – odparł, nie otwierając oczu.

– Nie mówiłeś – przyznała, po czym spojrzała na Jacka, który pobierał ostatnią próbkę krwi. – Jack, oprócz badania krwi potrzebne mi prześwietlenie jamy brzusznej i endoskopia. Myślisz, że Amanda będzie miała coś przeciwko temu?

– Ty jesteś jego lekarzem, więc rób, co uważasz za konieczne. A tak na marginesie, gratuluję, doktor Brooks. Słyszałem o tobie już wcześniej, ale taka spostrzegawczość oficjalnie pasuje cię na lekarza z dżungli. – Pochylił się nad Benem, by spojrzeć na jej odkrycie. Obrzęk był ledwie widoczny, ale był. Jack dotknął go palcem, by się upewnić.

– Tak, to on! Podziwu godna spostrzegawczość.

– Prawie tego nie widać, ale to na pewno chagas.

– W bardzo wczesnym stadium, więc tym większe moje uznanie.

Powinien się wstrzymać z uznaniem, dopóki Ben nie zwalczy choroby, która wzięła swą nazwę od brazylijskiego lekarza, który opisał ją pierwszy. Decydującym czynnikiem oprócz leczenia będzie czas, ale to przerażało ją najbardziej, bo w początkowych stadiach przebieg choroby jest łagodny. Czasami choroba przechodzi w stadium bezobjawowe, by znowu dać o sobie znać ze zwielokrotnioną siłą.

– Ben, nie zostawiaj mnie – szepnęła trzy godziny później, przysiadając na krześle obok łóżka. – Nie pozwolę, żebyś gdzieś odchodził.

Położyli go w izolatce, gdy Jack potwierdził obecność chorobotwórczych pasożytów krwi, a prześwietlenie jamy brzusznej i endoskopia wykluczyły uszkodzenie jelit, żołądka lub przełyku, obszarów zazwyczaj atakowanych przez tę chorobę. I chociaż nie jest zakaźna, więc

każdego innego pacjenta można było położyć na oddziale, Ben zasługiwał na osobny pokój, Do tego stopnia, że z opieki nad nim Shanna zwolniła wszystkie pielęgniarki. Ben należał tylko do niej.

Być może jej opiekuńczość brała się stąd, że Ben bardzo dbał o swoją prywatność, a może po prostu nie chciała spuszczać go z oczu. Jednak czuła, że będzie przy nim tak długo, jak będzie to konieczne.

Potem... Bóg jeden wie, co będzie potem. Na razie znalazła rozwiązanie swych problemów, nawet jeśli miało się ono okazać tymczasowe. Kochała tego człowieka i miała nadzieję, że reszta się ułoży.

– Kurczę, Ben, całe życie mam problemy, więc dla odmiany przydałoby mi się jakieś ułatwienie. A ty wcale nie jesteś łatwy, więc dlaczego mi się trafiłeś?

Milczał, to zrozumiałe. Ale ona też nie znała odpowiedzi.

## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

– To nie to samo co Włochy – zauważył, z trudem trzymając się na nogach, bo dały o sobie znać skutki jedenastu dni leżenia w łóżku.

– Słucham? – zapytała, pomagając mu złapać równowagę.

– Włochy. Górskie zbocza i trasy narciarskie. To mój ulubiony sposób spędzania wolnego czasu. To nie było to. Nienawidzę być...

– Uziemiony..

– Uziemiony – roześmiał się – beczynny i traktowany jak człowiek schorowany.

– Bo jesteś chory. – Szli na dwór, do fotela na werandzie.

– Bo skakałaś koło mnie jak niewolnica, mimo że nie przegrałaś zakładu. – Gdy w końcu znalazł się z powrotem wśród tak zwanych żywych, to prawdę mówiąc, całkiem mu to odpowiadało. Im czuł się lepiej, tym większą sprawiało mu to przyjemność. Shanna miała takie kobiece podejście... Nie był do tego przyzwyczajony.

– Nie słyszałam, żebyś narzekał.

– Byłem chory, ale nie zwariowałem.

– Coś ci podać, zanim pójdę na dyżur?

Zerknął przez ramię na kolejkę pacjentów, która ciągnęła się aż za róg budynku. Odkąd rozeszła się wieść, że Ben zapadł na chorobę Chagasa, praktycznie cała wioska stawiała się, by pokazać lekarzowi wszystkie swoje ukąszenia oraz opuchlizny. Wcale im się nie dziwił. Bo to przerażające, że w nocy coś nas zaatakowało, ale dowiadujemy się o tym dopiero, gdy zachorujemy. Albo, jak w jego przypadku, gdy znajdziemy się nad grobem.

– Chciałbym, żebyś wzięła trochę wolnego. Marnie wyglądasz.

– Też bym chciała, ale nie mogę. Twój nadworny lekarz nie zgadza się, żebyś wrócił do pracy przed upływem co najmniej trzech tygodni, a to znaczy, że ktoś musi zająć się twoimi pacjentami. Przez ten czas ty masz się wylegiwać, popijając soki owocowe.

– Mój nadworny lekarz przesadza. Wrócę do pracy za kilka dni.

– Twój nadworny lekarz zapisał cię na specjalistyczne badania w Buenos Aires i od tego nie odstąpi.

– Shanna, chagas nie uszkodził mi serca – oponował. Czuł się osłabiony, nic poza tym. Psychiczenie był gotowy do pracy, może nie do tego, by od razu rzucić się w jej wir, tylko, na przykład, w roli konsultanta.

Ale Shanna się uparła.

– Wszystkie moje narządy wewnętrzne pracują normalnie. Wiem, że wszystko jest pod kontrolą.

– Skąd? Byłeś chory przez parę tygodni, zanim straciłeś przytomność, i o tym nie wiedziałeś.

– Bo na początku chagas przebiega bezobjawowo.

– Nie zgadzam się, żebyś wrócił do pracy. Tego wymaga polityka szpitala. Sam ją sformułowałeś. Po dłuższej chorobie lekarz musi uzyskać, pozwolenie na powrót do pracy.

Podobała mu się jej sumienność, ale jeszcze bardziej jej zadziorność. Ostatnio był w marnym nastroju i przyłapał się na tym, że wdaje się w dyskusje, kiedy nie ma o czym dyskutować. Za każdym razem Shanna dawała mu odpór. I to się mu w niej spodobało. Wojowniczość i poczucie moralnego obowiązku. Niesamowity z niej lekarz. Co więcej, prawdziwy przyjaciel. Może poza siostrą pierwszy od czasów dzieciństwa.

Jednak to, że ją kocha, komplikowało sytuację, bo się nie zmienił. Dalej będzie takim samym człowiekiem, jakim jest od dwunastu lat, a ona zasługuje



na coś więcej...

– Mogę te zasady zmienić.

Uśmiechnęła się chytrze.

– Nie bez zgody Amandy, a ona się nie zgodzi. Jeśli chodzi o ciebie, trzymamy jednolity front.

– Jestem... – Szczęśliwy. Nader rzadko używał tego słowa, ale teraz tak się czuł i chwilami nawet nie chciał, by rekonwalescencja się skończyła. Jasne, że się skończy, ale przyjemnie jest być w centrum uwagi. Zwłaszcza Shanny.

– Rozpieszczany?

– Zniewolony. – W pozytywnym sensie.

– Biedny Ben. Koszmarny pacjent. Jeszcze gorszy jako rekonwalescent. – Odwróciła się roześmiana. – Jak będę miała czas, zjem z tobą lunch. Gdybyś czegoś potrzebował...

– Muszę wrócić do pracy.

– Jeszcze nie teraz. Pogódź się z tym. – Pomachała mu na pożegnanie, po czym pospieszyła do przychodni.

Shanna tchnęła nowe życie w Caridad. Stała się szpitalowi potrzebna w większym stopniu niż większość sprzętu na jego liście zapotrzebowań, ponieważ ucieleśniała to, czym miał być szpital: nadzieję, pasję, opiekuńcze podejście do pacjenta. Teraz pracuje jak szalona, ale jak nieco zwolni, zrozumie, że nie są parą, że nigdy nią nie mogą być, i wyjedzie, bo jest tak jasną gwiazdą na nieboskłonie, że Caridad jej nie pomieści.

Żeby nie myśleć o tym, co nieosiągalne, przez następną godzinę siedział w słońcu, męcząc się nad artykułem pod lakonicznym tytułem „Cewnikowanie żyły szyjnej wewnętrznej: z rotacją czy bez”. W połowie lektury poczuł, że opadają mu powieki.

Godzinę później obudził go nieznajomy głos, przerywając idylliczny sen, w którym leżeli wraz z Shanną na kocu, piknikując na *laguna ocultada*. Właśnie stwierdzili, że są ciekawsze rzeczy niż jedzenie...

– Doktor Robinson? – Ten głos już gdzieś słyszał. – Doktor Robinson, tak?

Niezadowolony, że wyrwano go z takiego snu, otworzył oczy.

– Tak, to ja. – Przed nim stał przystojny siwowłosy mężczyzna w nieokreślonym wieku, bo na jego twarzy nie było ani jednej zmarszczki. Za to oczy... Zielone oczy Shanny. Rozpoznałby je wszędzie.

– Doktor Brooks? – Podając mu dłoń, nawet nie próbował się podnieść z fotela z obawy, że nogi odmówią mu posłuszeństwa. Nie chciał osunąć się w ramiona dziadka Shanny. – Przepraszam, że tak wyglądam.

Miał na sobie bojówki i białą koszulę z długimi rękawami, ale był nieuczesany, nieogolony i boso. W trakcie choroby odkrył, że lubi chodzić bez butów.

– Wychodzę z choroby Chagasa – tłumaczył się. – Jestem jeszcze osłabiony.

– Mam nadzieję, że zdiagnozowano ją na tyle wcześnie, że wyjdzie pan z tego bez szwanku. – Doktor Brooks uścisnął mu dłoń. – Mogę usiąść?

– Ależ oczywiście.

Co on tu robi? Shanna nie wspomniała o jego wizycie. Nawet jeśli to zrobiła, to musiało to być jakiś czas temu, gdy był zbyt chory, by o tym pamiętać. Czy ona wie, że dziadek tu jest?

– Może soku? – Wskazał dzbanek, który zostawiła Shanna. – Herbata? Polecam *yerba mate*. Bardzo smaczna.

Miles Brooks podziękował, po czym przysiadł na brzegu fotela, sztywno wyprostowany i zdystansowany. Jego strój lepiej by się prezentował

na polu golfowym niż w dżungli.

– Młody człowieku, jestem tu, żeby zabrać swoją wnuczkę i jak najszybciej opuścić ten kraj.

– Shanna wie?

– Co Shanna wie, to nieistotne. Pewnie wyobraża sobie, że jest królową dżungli, ale jej miejsce jest w szpitalu. Czeka ją na nią obowiązki. Przypomni sobie o nich, jak tylko opuści to środowisko.

– Pozwoli pan, żeby porzuciła pacjentów i spędzała czas za biurkiem?

– To nie jest kwestia pozwolenia, młody człowieku. Ja nalegam. Ma głowę do interesów, a za miękkie serce do pacjentów. Wyzaczyłem jej odpowiednie miejsce.

– Odpowiednie miejsce – powtórzył Ben.

Nic dziwnego, że wzięła dłuższy urlop. Sam prawdopodobnie też by tak postąpił, mając na co dzień do czynienia z Milesem Brooksem.

– Czy to nie ona sama powinna dokonać wyboru tego właściwego miejsca?

– Nie, dopóki pracuje u mnie.

– Szkoda. Bo zaryzykowałbym zakład, że wśród pańskiego personelu mało kto tak jak ona nadaje się do pracy z pacjentem.

– Doktorze Robinson, dałem jej szansę, żeby się dostosowała do wymogów Brooks Medical Center, ale się nie sprawdziła. Na całej linii.

– Jak to możliwe?

– Postawiłem jej ultimatum. Po urlopie miała do nas wrócić i albo nie angażować się emocjonalnie w kwestii pacjentów, albo objąć funkcję dyrektora operacyjnego, który nie ma kontaktu z chorymi. Emocje ją osłabiają. Za bardzo się angażuje w te aspekty życia pacjenta, które do niej nie należą. Dałem jej szansę poprawy, żeby odsunęła na bok emocje i zajęła się

wyłącznie leczeniem. Innymi słowy, żeby poświęciła się pracy. Tego oczekujemy od naszych lekarzy, a ona nie jest wyjątkiem. – Wzruszył ramionami. – Przystała na to. Nie wyrzuciliśmy jej za drzwi. Odeszła z oddziału z własnej woli, wiedząc, co ma zrobić.

Benowi nie mieściło się to w głowie. Siedział... odrętwiały. Shanna przyjęła ultimatum dziadka?

– Zgodziła się wrócić do Brooks na pana warunkach? – zapytał, starając się odsunąć od siebie to, co oczywiste.

– Jeżeli nie wróci, zarząd ma prawo usunąć ją ze szpitala, a to znaczy, że przestanie być jego współwłaścicielką.

– I nie będzie mile widziana przez rodzinę?

– To nie pańska sprawa, doktorze.

Prawda, ale nareszcie znał odpowiedź. Nareszcie zrozumiał, dlaczego Shanna chce być taka jak on. W jej oczach jest podobny do dziadka. Zimny i pozbawiony emocji. Przemierzyła szmat świata, żeby się uczyć od mistrza obojętności. Poczuli się fatalnie na myśl, że ktoś chce kopiować cechę, z której nigdy nie był dumny.

Łudził się, że chciała się od niego nauczyć czegoś innego. Na przykład pracy w dżungli albo prowadzenia małego szpitala. Albo nawet tego, że zapragnęła jakiejś więzi pomimo jego obojętności w Toskanii.

Nieważne, co mu się wydawało. Bo Shanna chce się nauczyć, jak być takim zimnym bezdusznym draniem jak dziadek Brooks. Tylko na tym jej zależy. Jak wyrzec się siebie, w czym on jest mistrzem, by mieć serce z kamienia. Uznała go za idealnego nauczyciela.

– Doktorze Brooks, pana nie interesują pragnienia innych, prawda? Ani to, do czego nadają się najlepiej?

– Interesuje mnie wyłącznie sprawne funkcjonowanie wszystkiego,

czego się podejmuję. Jesteśmy dużą poważną placówką, w której nie ma miejsca na naiwny sentymentalizm. Shanna ma do niego skłonność i jedynym sposobem, żeby to wyrugować, jest usunięcie jego przyczyny. Wiem, że kieruje pan szpitalem, ale wątpię, czy zdaje pan sobie sprawę, jak ogromnym zadaniem jest szefowanie Brooks Medical Center.

Nie, nie zdaje sobie z tego sprawy. I nawet nie chce sobie tego wyobrazić.

– Jak znalazł pan Caridad? – zapytał, by nie roztrząsać, co Shanna naprawdę o nim myśli.

– Bez trudu. A tak na marginesie, pamiętam pana. Gniewny młody człowiek. Moja decyzja, żeby odmówić panu rezydentury, była słuszna i sądząc po tym, gdzie pan skończył, nawet bardziej uzasadniona, niż wtedy myślałem. Wydaje ci się, synu, że dzięki mojej wnuczce zdołasz się wkłęcić do rodziny Brooksów i naszego majątku, ale tak się nie stanie. Sprawa jest prosta. Wracając do Brooks Center, Shanna będzie miała wszystko. Zostając w Caridad, wszystko straci. Nie będzie naszym partnerem, nie zajmie żadnego stanowiska i nie będzie miała rodziny. Jeśli odwróci się do nas plecami, to i my się od niej odwrócimy. Domyślałam się, że i pan miałby do nas dołączyć, tak? Na pewno zaangażowała się emocjonalnie. To poważna choroba. Oraz jej żywioł. Łudzi się, że umie opiekować się pacjentem.

– Doktorze Brooks, jest pan manipulantem i skończonym draniem.

Doktor Brooks wybuchnął śmiechem.

– Młody człowieku, słyszałem o sobie gorsze rzeczy.

– Ale czy ktoś wytknął panu krótkowzroczność? Bo niczym innym jak krótkowzrocznością jest przekonanie, że można być dobrym lekarzem, nie angażując się emocjonalnie.

– Okej. Może pan wkładać w swój szpital tyle emocji, ile pan chce, ale

nie pozwolę, żeby mnie pan obrażał za to, że jestem innym szefem niż pan. Moja metoda się sprawdza.

– I rani pańską wnuczkę. Nie widzi pan tego? Dawno nie miałem do czynienia z tak utalentowanym lekarzem jak ona, a to, czego pan od niej oczekuje, eliminuje ją i ogranicza. Jeśli zmusi ją pan do powrotu do Brooks Center i posadzi na dyrektorskim stołku, dużo pan straci.

– Albo zyskam. To zależy od punktu widzenia.

– Tak, jest pan manipulantem, bo nie na Shannie panu zależy, ale na tym, żeby z nią wygrać.

– Chyba pan nie wie, że jako rodzina kochamy Shannę i dlatego chcemy jej powrotu.

– Wątpię. Shanna nie wie, że jest przez rodzinę kochana. – Spodziewał się, że to stwierdzenie wstrząśnie Milesem Brooksem, ale ten zachował kamienną twarz.

I wtedy po raz drugi dotarło do Bena, że Shanna uwierzyła, że to od niego nauczy się być tak okrutną kreaturą niegodną miana człowieka.

– Nasz rodzina kocha sprawne funkcjonowanie szpitala, a Shanna jest jej częścią. Ale czy pan do tego pasuje? Mam panu coś zaproponować w zamian za nią?

– Shanna jest zbyt inteligentna, żeby wiązać się ze mną, bo w jej oczach jestem taki sam jak pan. Ona zasługuje na kogoś lepszego ode mnie i od pana.

– I tu się pan myli. Nie jest pan taki jak ja, bo w takich mężczyznach jak ja nie zakochują się takie kobiety jak moja wnuczka.

Ona go kocha? Tylko to chciał wiedzieć.

Miles Brooks uniósł brwi.

– Nie wiedział pan? Bo tak samo jak moja wnuczka nie potrafi pan ukrywać emocji, co każe mi się domyślać, że z taką samą łatwością odbiera

pan emocje innych. Nieważne. Pan tu zostanie, ona wyjedzie. Należy do Brooksów, a każdy z nas zna swoje miejsce. Ale jestem skłonny uwzględnić pana w tym układzie, jeśli do tego dojdzie.

Nie dojdzie, bo dla Shanny nie ma tu miejsca, zwłaszcza jeśli prawdą jest to, co powiedział dziadek, to znaczy, że Shanna go kocha. Ta informacja wstrząsnęła nim bardziej, niż mógłby przypuszczać.

– Shanna przyjmuje teraz pacjentów, więc proszę jej nie przeszkadzać. Niedługo mamy zjeść lunch, więc i pana zapraszam. W tym brązowym budynku przed szpitalem jest wolny pokój. Proponuję, żeby na czas pobytu w Caridad się tam pan rozgościł.

– Na jedną noc, synu, żeby Shanna miała czas się spakować, a pan podjąć decyzję.

Miles Brooks wstał, ukłonił się sztywno, po czym ruszył w stronę schodków.

– Jeśli tak bardzo zależy panu na mojej wnuczce, jak mi się wydaje, weźmie pan pod uwagę jej dobro. Proszę kogoś przysłać do mnie z informacją, że Shanna jest już wolna.

Nigdy, pomyślał Ben. Nikogo po ciebie nie wyślę, ty stary manipulancie...

– Miałeś przykazane nie chodzić – powiedziała, dostrzegając go pod ścianą gabinetu.

Obserwował, jak bandażuje nogę chłopca, któremu przed chwilą założyła dwadzieścia dwa szwy.

– Mogłem to zrobić. To nie wymaga wysiłku.

– Mogłeś też zostać na werandzie, jak zalecił lekarz.

– Siedziałem na werandzie. Miałem gościa.

– Należało go dłużej zatrzymać, żeby tak szybko nie wstawać. –

Podniosła na niego wzrok. – Ben, rozumiem, że nudzisz się jak pies w studni. Ja też bym się nudziła. Ale dopóki nie będzie wyników badań, których nie można wykonać w Caridad, masz odpoczywać. Zrobimy je, jak załatwię dla ciebie samolot, a to będzie dopiero w przyszłym tygodniu. Proszę, bądź posłusznym pacjentem.

– Gadaj zdrowa, pani doktor. Groch o ścianę.

– Wiem, wiem. – Wyprowadziła chłopca na korytarz, gdzie czekała jego matka. Gdy wróciła, Ben siedział na stole zabiegowym, machając nogami. Minę miał nieodgadnioną. – Nie czujesz się najlepiej?

– Czuję się dobrze. – Zapraszając ją, klepnął miejsce obok siebie. – Musimy porozmawiać. Poprosiłem już doktora Huebera, żeby cię zastąpił w przychodni.

– Chyba nie powinnam siadać... – Bała się złej wiadomości, a intuicja kazała się jej na to przygotować. – Ben, mów. Proszę, po prostu mi to powiedz.

Gestem ponownie ją zaprosił, by usiadła. Dwoje ludzi, którzy siedzą ramię w ramię w pustym pokoju. Mogłoby być intymnie, ale nie było. On też to czuł, biorąc ją za rękę.

– Twój dziadek jest w Caridad.

– Co takiego?!

– To on był tym moim gościem. Przyjechał, żeby cię zabrać do domu.

Różne rzeczy spodziewała się usłyszeć, ale nie to.

– Powiedział dlaczego?

– Uznał, że to najwyższy czas.

– Najwyższy czas, bo oni nie lubią przegrywać, a im dłużej będę daleko, tym bardziej ryzykują.

– Co mieliby przegrać? To nie jest gra.



– Nie? – Siedziała sztywno. – Ben, stawką jest kontrola. Taka jest moja rodzina. Założę się, że dziadek nawet nie napomknął, że się za mną stęsknił. Dlaczego on? Przecież mam rodziców, którzy mogliby poprosić, żebym wróciła. Wystarczyło zadzwonić, a nie zrobili tego, bo tak rządzi się moja rodzina. Ben, my jesteśmy rządzeni. Nie daj się zwieść. Zarządza się nami jak firmą.

– Dlatego ich opuściłaś?

Pokręciła głową.

– Jak się ma tego świadomość, to się to akceptuje. Prawdę mówiąc, wcale mi to nie przeszkadzało. – Gdy pozwalano jej pracować z pacjentami.

– Shanna, coś nie spodobało ci się tak bardzo, że uciekłaś aż tutaj. Teraz już wiem, co to jest.

– Ben, żeby się od ciebie uczyć. Już ci to mówiłam.

– Serce waliło jej jak młotem, bo Ben się domyślił i, jak się obawiała, mocno go to zabolalo.

– Nigdy w to nie wierzyłem, ale dziadek opowiedział mi o ultimatum, które ci postawił.

Pomimo tropikalnego upału zadrzała.

– Nie wiem...

– Wiesz. Po urlopie miałaś wrócić do Brooks Center albo jako lekarz, który nie ulega emocjom, albo jako dyrektor. Jedno albo drugie. Taka była umowa, prawda? Miałaś nauczyć się być taka jak on albo, jak się okazało, jak ja? Ja i twój dziadek, obaj tacy sami.

– Ben, to nie tak. Nie o to mi chodziło.

– Naprawdę? Potrafisz powiedzieć mi prosto w oczy, że w twojej opinii nie jestem repliką Milesa Brooksa? Że nie przyjechałaś tu uczyć się mnie naśladować, żeby wrócić do łask dziadka? – Cofnął dłoń, wstał, po czym

przeszedł do okna. – O to ci chodziło,

i tego nie mogłem w tobie zrozumieć. Tego chciałaś się ode mnie nauczyć. Próbując do tego dojść, na różne sposoby sobie pochlebiałem. A może powinienem raczej powiedzieć, że się łudziłem?

– Nie do końca się mylisz – przyznała – ale też nie do końca masz rację.

– To też nie ma sensu, jak cała reszta. – Odwrócił się do niej. – Nie mogłaś zdobyć się na szczerłość? Powiedzieć, że chcesz się nauczyć, jak stać się człowiekiem takim jak ja: zimnym, zdystansowanym, pozbawionym serca i wrażliwości, obojętnym, co chcesz. Wszystko to do mnie pasuje. Za takiego mnie masz.

– Miałam.

– No właśnie.

Niemożliwe, że to dzieje się naprawdę. Była niemal przekonana, że może tu zostać, wykonywać pracę, którą kocha, żyć u boku człowieka, którego kocha, choć bez szansy na wzajemność. Bo nawet niewielka część Bena to lepsze niż jego brak. Ale jak na ironię, teraz znalazła się właśnie w tym punkcie.

Nie mogła mieć do niego pretensji, że czuje się urażony, bo tak go dawniej widziała i dlatego zdecydowała się na podróż do Argentyny. Ale pokochała go za to, że taki nie jest.

– Co innego mogłam o tobie pomyśleć? – Z trudem hamowała łzy, by nie dopuścić do siebie emocji, źródła swoich wszystkich problemów. – We

Włoszech spędzaliśmy razem sporo czasu, ale zawsze zachowywałeś chłód. Byłeś uprzejmy, otwierałeś mi drzwi i zamawiałeś na lunch to co ja, ale byłeś zimny. Tak, przyznaję, pomyślałam wtedy, że możesz być dla mnie wzorem do naśladowania, jeśli chcę wrócić do pracy w szpitalu... Po prostu chciałam dorosnąć i stać się taka jak reszta rodziny. Uznałam więc, że dobrze

mi zrobi obserwowanie kogoś takiego jak oni z daleka od rodzinnej atmosfery, że zrobię to tam, gdzie nie oczekuje się ode mnie aż tak dużo. Wybrałam ciebie jako idealny obiekt obserwacji. Wyjątkowego profesjonalistę, a jednocześnie skoncentrowanego wyłącznie na leczeniu.

– Tego właśnie nie rozumiem. Dlaczego postanowiłaś się tego wyzbyć?

Uśmiechnęła się smutno.

– Bo to przeszkadza.

– Shanna, w jaki sposób? Powiedz.

– Zawsze lubiłam nawiązywać kontakt z pacjentami, chyba to zauważyłeś. Dlatego lubię medycynę rodzinną. Jako lekarze mamy szczęście poznawać życie innych, nawiązywać z nimi więź. Wierzę, że wszystkich ludzi coś łączy. Może dlatego, że jesteśmy częścią wszechświata, a może dlatego, że sami musimy szukać tych połączeń. Niezależnie od tego, co to jest, starałam się je odnajdować w każdym pacjencie. Miałam pacjentkę, panią Willoughby. W ostatnim stadium raka nerki. Byłam wściekła, kiedy dziadek skreślił ją z listy oczekujących na przeszczep, bo ta kobieta miała szansę przeżyć. Tak bardzo chciałam, żeby żyła, że emocje przesłoniły mi trzeźwy ogląd sytuacji.

– Pomijając wiek, była pacjentką dużego ryzyka?

Shanna przytaknęła.

– Z medycznego punktu widzenia tak. Ale była moją pacjentką i dlatego obiecałam jej coś, czego nie mogłam spełnić. Umarła, a ja... – Okej, blokada emocji puściła i łzy popłynęły ciurkiem. – Sam widzisz, jaka jestem. Kieruję się sercem i nie mogę tego zmienić. Przez chwilę wydawało mi się, że obserwując ciebie, dowiem się, jak ty to robisz, ale ty jesteś inny. – Pociągnęła nosem. – Ty nie wyłączasz emocji, ty radzisz sobie z nimi inaczej, ale nie jesteś podobny do dziadka ani do innych, którym próbowałam

dorównać. Zobaczyłam to już na początku i być może już wtedy należało wyjechać, zanim... to się stało. Tak, zawsze wiedziałam, że wrócę do Brooks Center. Taka była umowa. Że tak czy owak, wrócę.

– Masz zamiar wrócić do czegoś, co cię unieszczęśliwi?

– Człowiek potrafi się przystosować, prawda? Popatrz na siebie.

– Nie przyszło ci do głowy, że to z powodu więzi z pacjentem jesteś tak wyjątkowym lekarzem? Przyglądając ci się, zazdrościłem ci odwagi. Że potrafisz tak bardzo się zaangażować.

– Nie musisz mnie pocieszać, Ben. Pozbieram się.

– Ale czy będziesz szczęśliwa?

Tak naprawdę? Nie. Nie bez niego. Ale on jest niedostępny, a ta jego część, która być może wcześniej do niej należała, przepadła.

– Szczęście jest pojęciem względnym.

– Okej, nie rozmawiajmy o szczęściu. Będziesz czuła się spełniona?

– Dlaczego cię to obchodzi?

– Bo ty mnie obchodzisz. Nie bardzo umiem się pogodzić z tym, co o mnie myślałaś, ale to nie zmienia faktu, że mnie obchodzisz, a widzę, że jesteś o krok od popełnienia najgorszej pomyłki.

– Jakie mam wyjście? Zostać tu i pracować z człowiekiem, którego kocham, ze świadomością, że on mnie nie chce? Czy to powód do szczęścia albo spełnienia?

– Co powiedziałaś?!

– Że cię kocham, Ben. Nie udawaj, że nie wiesz. Ignorujesz to, bo nie jesteś na to otwarty. Ale ja słabo ukrywam emocje...

Westchnął ciężko.

– Jeśli myślisz, że to czujesz...

– Jeśli myślę?! Jak możesz tak mówić?!

Znowu westchnął.

– Powtarzam ci, że odkąd się tu zjawiałaś...

Uciszyła go gestem dłoni.

– Nieważne, co mi powtarzasz, jasne? Po raz kolejny uległam emocjom i co z tego mam? Więc dlaczego nie mam wrócić do Brooks i być taka jak powinnam?

– Bo nie chcę, żebyś taka była.

– Ale nie mam wyboru. Te emocje, które ma mi się za złe, kończą się dla mnie cierpieniem. Przez nie w niczym nie będę dobra.

– Shanno, zamiast się tego wyrzekać, przyjmij to z otwartymi ramionami.

– Po co, skoro zadowolisz mnie tylko ty i praca razem z tobą w Caridad. Ale mi na to nie pozwalasz.

– W kółko powtarzam, że nie potrafię się zaangażować tak, jak ty byś chciała.

– Z powodu blizn? Problemu z alkoholem? Tak nisko mnie cenisz, że wątpisz, czy sobie z tym poradzę?

– Nie, cenię cię bardzo wysoko, bo wiem, że sobie poradzisz. To ja nie umiem się odnaleźć. Za każdym razem, kiedy patrzę w lustro... widzę to wszystko. Gdybyś zawczasu wiedziała o tych potwornościach... Shanna, jestem chodzącym trupem. Nikt nie chce z tym żyć. Ja też, ale tak to wygląda. Taki jestem.

– Ben, nie umarłeś. Może jesteś wycofany, ale leczysz ludzi z niespotykaną pasją. Praktycznie z niczego zbudowałeś szpital. Nic nie umarło w człowieku, który czegoś takiego dokonał i odnosi sukcesy.

Groch o ścianę. Znowu zamknął się w sobie. Emocjonalnie, a zwłaszcza mentalnie. Poczula, że dłużej tego nie wytrzyma. Ben wręcz ją odpycha.

– Byłam gotowa przystać na wszystko, żeby być z tobą. Kocham ten szpital i ciebie, więc bym się zgodziła na tyle, ile byś mi dał. Ale ty nic nie chcesz mi dać. – Pora wyjechać i z tym skończyć, zdobyć się na dystans i zastanowić, co będzie dalej. Bo nie Brooks Center.

Ben jej pokazał, jaka jest, i że jej nie chce. Ale z drugiej strony to, co do niego czuła, pomogło jej zrozumieć, jaka chce być. Oraz to, co nigdy nie przypadnie jej w udziale, więc nie może zostać w Caridad.

– No cóż, jeśli nie jestem ci potrzebna, wyjadę jutro.

– Możesz zostać, Shanna. Caridad cię potrzebuje.

– Ale ty nie. Przepraszam, jeśli sprawiłam ci przykrość. Wszystko, co o tobie myślałam, było niesprawiedliwe. Jesteś wspaniałym człowiekiem i mam nadzieję, że będziesz szczęśliwy. Aha, informuję cię, że nie wrócę do Brooks, bo zgadzam się z twoją diagnozą. Jestem dobrym lekarzem. Tego mnie nauczyłeś i za to jestem ci wdzięczna.

Uwielbiała Toskanię w zimie i malownicze zbocza Garfagnany, mimo że od przyjazdu dwa tygodnie wcześniej ani razu nie poszła na narty, uwielbiała tokańskie wina, mimo że tym razem nie wypila nawet jednego kieliszka, uwielbiała bajkowe wioski, wiekowe kościółki, pustelnie, zamki i fortece, mimo że na razie nie miała ochoty ich zwiedzać. Kochała Toskanię tak samo jak Argentynę. Ale Argentyna to już przeszłość, a wspomnienie o niej sprawiało jej ból.

Tego poranka po prostu nie miała ochoty wstawać od stolika. Ich stolika przy oknie. W dalszym ciągu czuła obecność Bena i chciała się nią napawać. W aurze ciągle żywego uczucia, umierającego uczucia...

Jeszcze nie wiedziała, co będzie dalej. Może nie chciała wiedzieć, a może nie pozwalała jej na to kotwica, jaką było rozstanie z życiem, które kochała. Tak czy owak, każdego poranka z tego miejsca podziwiała góry.

Czasami wpatrywała się w nie przez kilka minut, kiedy indziej przez kilka godzin. Reszta dnia upływała jej na spacerach, niedojedzonych posiłkach i wymuszonych uśmiechach.

Chciałaby odzyskać cel w życiu, czyli Bena oraz Caridad, ale tam jej nie chciano, mimo że przez chwilę wydawało się jej, że Ben ją kocha i że z czasem to uczucie zburzy mur, którym się otoczył. Ale okazało się to iluzją. Jak cała reszta. Dwa tygodnie wcześniej, kiedy opuszczała Caridad, miała nadzieję, że Ben za nią podąży. Nie zrobił tego. Nawet nie próbował jej zrozumieć. To nie iluzja, a rzeczywistość, do której chciał ją przekonać, ale ona tego nie widziała. Tak, serce na dłoni na całej linii. Szkoda, że nie można tego zamienić na klapki na oczach, ale co się stało, to się nie odstanie.

Teraz musi się uporać z emocjonalnym zamętem i zrobić to przy tym stoliku z widokiem na góry. Westchnęła i zamknęła oczy, by odciąć się od wspomnień.

– Czy to miejsce jest wolne?

Łzy wezbrały jej pod powiekami.

– Tak – wyszeptała, żałując, że to wspomnienie jest aż tak żywe. Powinno już zblaknąć.

– To jedyny stół z widokiem na góry. Lubię na nie patrzeć. Mam wtedy wrażenie, że udziela mi się ich potęga.

Jak rzeczywiste było wspomnienie tamtego dnia, jej odpowiedź, jego głos... Otwierając oczy, miała nadzieję go ujrzeć, ale go nie zobaczyła, więc znowu opuściła powieki. Zniknij, pomyślała.

– Prawdę mówiąc, nigdy nie patrzyłem na góry z tego miejsca. Dopiero ty mi je pokazałaś.

– Ben... – wykrztusiła, gwałtownie się odwracając, bo stał za jej plecami. – To ty... Jak to? Co tu robisz?

– Lekarz zalecił mi odpoczynek, więc przyjechałem.

– Żadnemu lekarzowi nie spodobałaby się taka podróż przez pół świata.

Jeszcze nie teraz.

– To bardzo dobry lekarz. Świetny kardiolog. Nie doszukał się żadnych trwałych uszkodzeń, ale zalecił mi odpoczynek. Pomyślałem, że dobrze mi zrobi pobyt w Toskanii.

– Zrobiłeś wszystkie badania?

– Do Buenos Aires zabrałem się z twoim dziadkiem. Wyjechałaś przed nim, więc miał dla mnie miejsce. Muszę przyznać, że dysponowanie prywatnym odrzutowcem ma pewne zalety. Po drodze do Chicago wysadził mnie w Buenos Aires. Mogę się przysiąc?

Niczego więcej nie pragnęła mimo strachu, bo miała już dosyć cierpienia.

– Zbierałam się do wyjścia, więc cały stół będzie twój. To lepsze niż siedzieć w głębi i wpatrywać się w ścianę.

– A jeżeli chcę tu siedzieć i wpatrywać się w ciebie?

– Ben, nie chcesz. – Otarła łzy, odetchnęła głębiej i wyprostowała się, przygotowując na najtrudniejsze: zerwania z nim. Nie dla siebie, dla niego.

– Być może wyobrażasz sobie, że robisz dobrze albo że zakończysz coś, co się nie zaczęło, ale nie musisz tego robić. Przez jakiś czas byłam zagubiona, ale już mi przeszło.

– I dlatego tu siedzisz i płaczesz? – Usiadł, po czym wyciągnął rękę, by otrzeć jej łzy z policzka. – Shanna, przepraszam. Wiedziałem, że mnie kochasz, i czułem, że w pewnym sensie chcę tego.

W końcu odważyła się spojrzeć mu w oczy.

– Ale takie ostrzeżenie zawsze wisiało w powietrzu. Nawet tej nocy, kiedy się kochaliśmy, nie oddałeś mi się cały. Czułam to, ale nie chciałam



przyjąć do wiadomości.

– Nie znałaś mnie.

– I za to cię przeprosiłam. Myliłam się, zakładając...

Pokręcił głową.

– Miałaś do tego prawo. Taki pokazywałem się innym i to widziałaś.

Ale to tylko część.

– Bo tej drugiej nie pozwalałeś poznać.

– Nie chciałem.

– Dlaczego?

– Bo przyznając się do niej, muszę sam się z nią pogodzić oraz z tym, że nie ma tam nic dobrego ani szlachetnego, wszystkiego tego, co o mnie myślisz. To nie takie proste przyznać się do skazy, której nie da się usunąć. Łatwiej to ignorować, niż się do tego przyznać, bo...

– Bo przyznanie się burzy ścianę, którą się odgradziłeś, żeby przed tym się bronić. I wtedy zostaje wyłącznie słabość, która niepilnowana może prowadzić do cierpienia.

– Doktor Brooks, jak zawsze mnie pani zdumiewa.

– Doktorze Robinson, nie jestem zdumiewająca, ale staram się nawiązać kontakt. Podobno nie ma w tym nic złego. Problem w tym, że całe życie szukam miejsca, które mogłabym pokochać, w którym chciałabym żyć. Okazało się, że z tobą. I tu poniosłam porażkę, bo za każdym razem, kiedy chciałam się zbliżyć, zamykałeś się.

Może powinnam była dłużej zostać w Caridad, zawalczyć o to, czego chciałam, ale doszłam do wniosku, że to niewskazane. Pokochałam cię z wielu powodów i nadal Kocham. Podejrzewam, że i ty mnie Kochasz, bo inaczej nie przyleciałbyś tu z drugiego końca świata. Przeraza mnie to, co do Ciebie czuję, bo przez to czuję się słaba. Ale z drugiej strony jestem

szczęśliwa i pełna nadziei. Myślę, że czujesz podobnie. To, że mnie kochasz, sprawia, że też boisz się słabości, ale w odróżnieniu ode mnie się zamykasz. Odwróciłeś się ode mnie, bo nie wiesz, co zrobić z tą słabością, a ja mam tego dosyć.

– Shanna, to moja druga natura. To nie ma na celu krzywdzić innych, ale...

– Ma cię chronić. Rozumiem. Ludzie potrafią być okrutni i nie wątpię, że nieraz tego doświadczyłeś. Więc trzymaj się na uboczu, odstrasжай innych...

– Żeby ich chronić – wtrącił. – Ich, nie mnie.

– Bo masz blizny? Nie rozumiem.

– Tak, blizny, głębokie blizny.

– Ale nie fizyczne, prawda? Na pewno nie fizyczne, bo byłbyś... powierzchowny, a taki nie jesteś. Jak myślisz, dlaczego cię pokochałam?

– Pokochałaś wyobrażenie o mnie, ale to nie jestem ja.

– Kim nie jesteś? Facetem, który tamtego poranka nie wiedział, co robić, kiedy do jego stolika przysiadła się nieznajoma? Czy tego, który spędzał całe noce, chodząc od domu do domu, szczepiąc ludzi przeciwko żółtej febrze, tych, którzy wcześniej nie zgodzili się na szczepienie? Tego, który przez całą noc siedział przy małej Maritzcy, obserwując, jak oddycha, licząc jej puls, łamaną hiszpańszczyzną czytając jej bajki?

Ben, którym z nich nie jesteś? Bo to właśnie w tym facecie się zakochałam. Obserwowałam go, podziwiałam, aż dotarło do mnie, że za wszelką cenę chcę z nim być. Chcę być z tobą nawet teraz, kiedy wiem, że mnie nie potrzebujesz. Ale ty ciągle mnie odtrącasz. Przyleciałeś za mną do Włoch, ale dalej się zamykasz.

– Shanna, wolałabyś nie wiedzieć o wszystkim. Zanim tu przyleciałem,

musiałem sobie pouklądać to, co widzę w lustrze. Bo powinnaś poznać całą prawdę.

– Zanim znowu się odwrócisz? – Popatrzyła na górę osłaniającą miasteczko, opiekuńczą, chroniącą jego mieszkańców tak jak Ben pacjentów w Caridad. Ale jednocześnie groźną. Jak Ben. – Tak, masz rację. Mam prawo ją poznać. Przyleciałeś tu z Argentyny, ale musisz zrobić jeszcze jeden krok. – Udowodnić, że jej ufa.

Uśmiechnął się smutno.

– Przejrzałaś mnie na wylot.

– Nie na wylot, tylko część ciebie, a chcę zobaczyć całość. I musisz mi to umożliwić.

– Albo nie zobaczysz nic, a zrozumiesz to, kiedy poznasz całą prawdę.

– Nie doceniasz mnie, a na to nie zasłużyłam.

Zapatrzył się na góry, a ona czekała. Ani drgnął, aż w końcu, po kilku minutach, odetchnął głęboko.

– To prawda, nie zasłużyłaś, przepraszam. – Nareszcie przeniósł na nią wzrok. – Nie pomyliłaś się, mówiąc, że się ciebie boję. To fakt. Bardziej niż czegokolwiek.

– Dlaczego?

– Bo mi uświadamiasz, że muszę stawić czoło problemom, z którymi sobie nie radzę. Obrzydliwościom, o których wolę nie myśleć.

– Nie jesteś sam, pamiętaj.

Kiwnął głową.

– Chyba to przeraża mnie najbardziej. Umiem być sam. Wszystko inne... – Wzruszył ramionami. – Jak wiesz, byłem poparzony. Mimo niewielkich szans przeżyłem trzydzieści trzy operacje. To tylko wstęp, bo prawdziwa historia zaczyna się później. Udało mi się skończyć medycynę.

Łudziłem się, że mogę żyć normalnie mimo współczujących spojrzeń i szeptów za plecami. Na początku było trudno, ale z czasem przestałem na to zwracać uwagę.

Poznałem Nancy. Nie była miłością mojego życia, ale wydawało mi się, że coś może nas połączyć. Krótko mówiąc, zdjąłem koszulę, ona krzyknęła i cofnęła się z obrzydzeniem, a do mnie dotarło, że się od tego nie uwolnię, że inni będą reagowali tak samo. To był pretekst, bo liczyła się nie reakcja Nancy, ale moja. Łatwiej było mi obwiniać ten banalny incydent za cały ciąg zdarzeń, które nastąpiły później.

– Alkohol?

Przytaknął.

– Stan upojenia ułatwia odcięcie się od rzeczywistości. Ale to mi nie wystarczało, więc sięgnąłem po narkotyki. Wyrzucono mnie pod sam koniec rezydentury.

– Jednak się pozbierałeś.

– Nie od razu. Straciłem cały rok. Kilka razy podchodziłem do programu dwunastu kroków i kilka razy odpadałem. Ponowiłem wniosek o rezydenturę z chirurgii, ale go odrzucono, więc z niej zrezygnowałem na rzecz medycyny rodzinnej, ale twój dziadek mnie nie przyjął.

– Za to dostałeś się do innego szpitala. Mówiłeś, że wyszło ci to na dobre.

– Jako wolontariusz pracowałem w przychodni uzależnień. W końcu zostałem rezydentem, bo nikt inny nie był tym zainteresowany. Ten szpital był nie – dofinansowany i trudny, ale przez to miałem sposobność poznać takie oblicze systemu opieki medycznej, którego bym nie zobaczył w Brooks. Dzięki temu mogłem polecieć do Argentyny i robić to co teraz. Tego, że mnie tam zaakceptowano, nie traktuję jako olśniewające potwierdzenie

czegokolwiek.

– Ale jako zobowiązanie, żeby iść dalej wbrew okolicznościom.

– No widzisz, w tym sęk. Zabrakło mi takiego poczucia obowiązku. Zanim wylądowałem w Argentynie, stanąłem przed ścianą. Piłem, brałem, marnowałem szanse na karierę zawodową. To nie pcha człowieka do przodu.

– Zauważ, ile osiągnąłeś. Co musiało się stać, żeby tamten człowiek stał się tym, który teraz kieruje Caridad?

– Próba samobójcza.

Podniosła dłoń do warg.

– Tego dnia, kiedy twój dziadek mnie wyrzucił, wróciłem do hotelu. Miałem żal do niego, do Nancy, do całego świata. Znowu wypilem, wziąłem więcej prochów... Miałem wszystkiego dosyć, czułem się przegrany. Im gorzej się czułem, tym więcej potrzebowałem używek. Dzisiaj nawet trudno mi sobie wyobrazić, co wtedy byłem w stanie zrobić, żeby wejść w stan odrętwienia. Silniejszy facet skończyłby z sobą wcześniej, ale nie byłem silny. Byłem facetem, który wyszukiwał pretekstów. Tak to wyglądało do dnia, kiedy oprzytomniałem. Nie łudź się co do mnie, to nie było żadne olśnienie. Prawdę mówiąc, był to chyba ostatni szlachetny gest w moim życiu. Ja...

Struchlała, domyślając się, do czego prowadzi.

– Próbowalesz się zabić.

– Rozwazałem to dniami i nocami. Nawet poszedłem na urwisko, na którym jako dziecko często się bawiłem, żeby się z niego rzucić. Stałem na krawędzi dobre dwie godziny. Jeden krok i moje problemy by się skończyły.

– Co cię powstrzymało?

Uśmiechnął się gorzko.

– Pomimo tak wyniszczających zachowań poczułem, że nie chcę

umrzeć. Zbyt ciężko pracowałem, żeby utrzymać się przy życiu. Dotarło do mnie, że winę za niepowodzenia zwałam na innych, a to ja sam za to odpowiadam. Obyło się bez głosów z zaświatów i gromów z jasnego nieba. Zrozumiałem, że świat jest pełen ludzi, którzy cierpią bardziej niż ja, którzy się nie poddają, którzy osiągają swoje cele wbrew przeciwnościom losu, a ja szukam najprostszego rozwiązania.

– Ben, może właśnie wtedy dojrzałeś. Dochodzimy do tego różnymi drogami. Niektórym przychodzi to łatwo, innym trudno.

– Uhm, przekonaj o tym moje lustro, bo jak w nie patrzę, widzę słabego faceta. Potwora. Nie blizny, a siebie. Dalej żyję na krawędzi. Codziennie się zastanawiam, co musiałoby się stać, żebym zrobił jeszcze jeden krok. Jak bym śmiał oczekiwać, że ktoś będzie to ze mną dzielić?!

– Ben, wiem, jaki jesteś. Ty widzisz w lustrze słabość, ja niewyobrażalną siłę. Tyle zrobiłeś! Pokonałeś uzależnienie, dokończyłeś rezydenturę, założyłeś szpital w Argentynie. Właśnie to może dzielić z tobą druga osoba. Chciałabym być tego częścią, jeżeli mi pozwolisz.

– Shanna, pragnę tego, ale jak wrócę do nałogu?

– Ben, chcesz być ze mną?

– Niczego bardziej nie pragnę. Przyszłości z tobą.

– Widzisz w niej miejsce na małżeństwo?

– Chciałem się z tobą ożenić, jak pierwszy raz siedzieliśmy przy tym stole, ale się przestraszyłem.

– Pożegnałam się z dotychczasowym życiem, odwróciłam od rodziny, pokochałam najbardziej upartego człowieka pod słońcem, który też mnie kocha, ale nic z tym nie robi. Uważasz, że to proste? – Wstała od stołu. – Wiesz co? Znudziło mi się patrzeć na tę górę i domysły, co jest na szczycie. Życie jest krótkie, a czas ucieka. Sprawdźmy to. – Podała mu rękę. – Ben,

jestem z tobą. Czy ty jesteś ze mną?

– Tak. – Ujął jej dłoń.

– Przez całą tę podróż? To ważne. Do samego końca albo nic.

Przytaknął.

– Mnie też nudzi gapienie się na tę górę. Jestem gotowy do podróży do samego końca.

Przystanęli na chodniku i razem patrzyli na górę.

– To długa wyprawa – zauważył Ben. – Co najmniej godzina do kolejki, a potem jeszcze godzina wspinaczki.

– Może nawet dwie albo trzy.

– Cztery, co najmniej cztery.

– Co proponujesz?

– Wybierzmy się tam jutro, a teraz proponuję, żebyśmy poszli do mojego pensjonatu. Mam tam pokój, ale myślę, że nie będzie problemu, żebyśmy dostali apartament dla nowożeńców.

– Na pewno chcesz? Bo chyba jeszcze nie poprosiłeś mnie o rękę. Chyba za wcześnie na apartament dla nowożeńców. – W jego spojrzeniu nie dostrzegła dystansu, tylko żar miłości, zaufania i pewność, że znalazł swoje miejsce. I że nareszcie są razem. – Ben, ożenisz się ze mną?

– Już się bałem, że o to nie zapytasz. – Wyjął z kieszeni dwa pudełeczka. Złote obrączki. – Tradycja każe przed ślubem nosić obrączkę na prawej ręce, po ślubie na lewej. To obrączki moich dziadków.

Mażeńską przysięgę złożyli sobie przed kafejką, na ruchliwej ulicy. Bez księdza, bez formalności.

– Piękne – szepnęła, gdy wsunął obrączkę na jej palec. – Ben, przysięgam kochać cię i wspierać do końca życia.

– A ja przysięgam, że do śmierci będę cię kochał i nigdy nie będę się

przed tobą zamykał.

Obowiązkowy pocałunek był trochę słony, ale gdy opuścili ramiona, rozległ się aplauz ze strony grupki przechodniów. Ukłonili się, po czym ręka w rękę udali do pensjonatu signory Palmadessy, która na ich powitanie zasypała wejście płatkami róż.

– Stoi tu od rana – oznajmiła Shanna, spoglądając na wielką drewnianą skrzynię przesłaną do szpitala Caridad. – To dla mnie, więc chcę ją rozpakować.

Ben się roześmiał.

– To ją otwórz. – Podał jej łom.

– Myślisz, że nie dam rady?

– Myślę, że sobie poradzisz.

Postawiła się rodzinie, a mimo to wszyscy przylecieli na ślub, aczkolwiek nie zostali na weselu. Shannę jednak ogarnął ostrożny optymizm, zwłaszcza że dziadek wyraził chęć posiadania prawnuka, a na dodatek zapłacił za przebudowę dwóch domków tak, by powstał jeden większy dom.

– Ben, wieko ani drgnie – pożałowała się. – Taka przesyłka musiała kosztować majątek.

– Nie przeczę.

Koniec końców ją otworzyła, a tam groszek styropianowy, folia bąbelkowa... Chcąc jak najszybciej dowiedzieć się, co jest pod spodem, jak szalona wyrzucała je na werandę. W końcu zobaczyła.

– Ben...

– Zamurowało cię, co? Chyba pobiegnę po kamerę, bo drugi raz czegoś takiego nie zobaczę.

– Jak to zrobiłeś?

– Kupiłem go, jak byliśmy w Toskanii, i wysłałem drogą morską. Bo



taniej.

Otarła łzy.

– To ten nasz, prawda? Przy którym...

– Się poznaliśmy. Nasz stół. Przy którym cię pokochałem. – Kupił i stół, i krzesła. – Nie chciałem, żeby inni na nich siadali, a jak pomyślałem, że właściciele zechcą zmienić wystrój...

– Nasz stół. – Padła mu w objęcia. – Dziękuję, dziękuję. Nawet nie wiesz, jakie to dla mnie ważne.

– Pokażesz mi, jak bardzo?

– W środku dnia? Masz pacjentów.

– Ktoś mnie zastąpi.

– Muszę uzupełnić dokumentację.

– Dokumentacja może poczekać. – Musnął ją wargami. – Całą wieczność, jak o mnie chodzi.

– Ben, co cię opętało?!

– Ty.